RACŁAWICE.

W. TETMAJER.

RACŁAWICE

POWIEŚC CHŁOPSKA.

KSIĄG SZEŚĆ.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI WYDAWNICZEJ
J CZERNECKIEGO W WIELICZCE.

Druk J. Czerneckiego w Wieliczce.

KSIĘGA I.

WIEŚ KRAKOWSKA.

Bądź pozdrowiona Ziemio! śliczna! pagórzysta!
Strojnym ludem i jarkiem słońcem pozłocista!
Pozdrawiam Cię i łany Twe, jak fale morza!
miasta i dwory Twoje! i wioski wśród zboża!
Gdzie w starych wiązów kępach, w lip odwiecznych gaju,
w cichych sadach jabłonnych, w starym obyczaju
żyje lud Twój! Chałupy słońcem wyzłacane,
na niebiesko jak woda, świecą pobielane
i okienkami patrzą, barwnie upstrzonemi
w kwiateczki, ręką dziewek pomalowanemi!
Opłotki koło sadów plecione z wikliny
i kręte, zółte w słońcu, przez trawę ścieżyny.
Środkiem wsi droga. Stawek chałupy odbija
w swem zwierciedle, a drogą, barwny się rozwija,
niby pas lity słucki, strojnych dziewuch szereg,
idących z nosidłami do studni. Wiaderek
lub konewek po parze, u ramion wiszące
niosą i świecą w słońcu, jak maki mieniące

barwami spodnic, chustek. Biegną zwinne, szybkie,
wesołe, roześmiane, jak habiny gibkie,
aby się koło studni, jak bukiet zgromadzić,
dzieje dnia opowiedzieć, o chłopakach radzić.
A po za wsią, przy drodze, z zielonemi łbami,
Stoją wierzby, dla dyabłów mieszkania, rzędami
i cienie swe rzucają, na łąkę kwiecistą,
jak turecki kobierzec, cudownie wzorzystą
żółtym jaskrem, czerwonym mieczykiem i trawą
zieloną, a kępami dzwonków niebieskawą.
A dalej się w podmuchu południa kołyszą
łany zbóż i w upale wonią kłósia dyszą.
I w cichy dzień słoneczny, zda się, że się kryje
coś w tych łanach, że jakieś niewidzialne żyje
w nich bóstwo pól, podmuchem wiatru gadające
i szumem zbóż i źdźbłem ich obłem dzwoniące...

Między dwie wsie, wrocławskim od dawna nazwany
wiedzie gościniec, w wąwóz głęboki worany,
ku Śląskowi. Brunona rycerza dziedzice
zakładali je niegdyś, i stąd: Bronowice
obiedwie noszą miano. Są Duże i Małe.
Chłopy w nich od lat setek żyją zasiedziałe
na swych rolach; z pradziadów, dziadów gospodarze.
Wolne ich miasto Kraków, jak ostatnia każe
Konstytucya majowa, ziemią i wolnością

obdarzyło, i zdawna byli tu miłością
i prawem ochraniani. Więc godność człowieczą
zachowali i dumę chłopską. Znaną rzeczą,
że niewola upadla, a wolność podnosi.
Chłopi, słuszni jak dęby, piękni, długowłosi,
wąsaci, mają głowy postrzyżone „w strzechy“
jak mówią, — to jest w bujne czupryny jak wiechy,
które podobno, bardzo wygodne są w bitce,
bo jest się za co targać, w zwadzie przy wypitce.
I, jak mickiewiczowy zasłynął zaścianek
męstwem swoich szlachciców, pięknością
szlachcianek,
Tak, w Małopolsce, słynne były w Bronowicach
ładne dziewki, gosposie z uśmiechem na licach,
mądrzy gazdowie starzy, zuchwali parobcy.
Lecz myliłby się myśląc kto, że człowiek obcy
nie będzie tu gościnnie przyjętym u stoła.
Dla gościa dom każdego, każdego stodoła
otwarte, jako serce, w dzień i dla noclegu.

W środku wioski, przy drodze, na wysokim
brzegu,
w głębi sadu, pod cieniem lipy rozłożystej,
świeci pośród zieleni ciemnej i soczystej
chałupa stara, strzechy ogromnym chochołem
przyciśnięta, aż ściany ugięły się dołem,
aż słupami i spinką podparto stragarze.
Słupy, jeden u węgłów, a u drzwi po parze.

Prawie nad cichą wioską zasiadały mroki

pogodnego wieczoru. Rąbkiem się obłoki
złotym, jarzyły na tle różanych niebiosów,
Pola ciemniały. I tylko, koroneczka kłosów
misterna, łany zboża rozległe odcina
od nieb jasnych. Poniżej: ziemia się zaczyna.
A po tej świętej ziemi, od pracy, miedzami,
ludzie wracali z pola, z trawy brzemionami.
I kiedy już piosenki przedzwoniły dziewek,
od chałupy, przez sadek owocowych drzewek,
wyszedł wolno chłop stary, wąsaty, łysawy,
z gołą głową. Z rąk ruchu widać i z postawy
że na różańcu szeptał wieczorne pacierze.
Bo z daleka, krakowskie wydzwoniły wieże
Anioł Pański. Chłop, modląc się, patrzy na pola
i cieszy się! Urodzaj Wszechmocna mu Wola
dała, żyto nad chłopa, jarzyny przecudne.

W cichych polach, roiły się mary ułudne
pół widzialne, pół czute... Zda się, że się kryje
coś w tych łanach, że jakieś niewidzialne żyje
w nich bóstwo pól, ogromną ciszą gadające,
w szelestach zbóż, ździebełkiem ich obłem
dzwoniące.
Chłop widzi w polach Boga i czuje go w ciszy.
Modli się. Bóg jest przy nim tuż. I Bóg go słyszy.

Stary Jacek, już siódmy krzyż życia przeżywał.
Zdrów i krzepki, za młodu po świecie gdzieś
bywał

za zarobkiem, a we wsi osiadłszy, za żonę
Czepcównę pojął. Czepce były rozrodzone
licznie, ród stary, kmiecy, pierwszy w Bronowicach.
I jako się po ziemiach, słyszy o szlachcicach
z rodów, pomiędzy bracią, możnych i sławniejszych,
Tak Czepców ród w Krakowskiem, jeden z najznaczniejszych.
We wsi było ich siła. Chłop w chłopa, jak buki.
Wszyscy mądrzy, wysocy, skorzy do nauki,
ciekawi, spraw świadomi Rzeczypospolitej.
W rodzinie się trzymają razem. W rozmaitej
dowiedli sposobności siły węzłów rodu.
Bo, czy w gospodzie który, z jakiego powodu
wejdzie w zwadę, czy w kłopot o miedzę z sąsiady,
czy krowa padnie komu z Czepców, czy porady
który z nich potrzebuje, Czepce, tak, jak w dawnym
Rzymie trzystu Fabiuszów, całym rodem sławnym
za jednego stawali, tak oni też ławą
stają bić czy obronić, i jednego sprawą,
złą czy dobrą, przejęci, stają brat za brata,
syn za ojca, za męża, kobieta pyskata.
Z tego to rodu żona, rodziła Jackowi
nadobne córy, syny zuchwałe, mężowi
była pomocą i jako to mówią, trzy węgły
podpierała, on czwarty, odkąd święte sprzęgły

ich zaślubiny. Z córek, Hanka pierworodna
jako kwiat polny w pączku, tak była urodna!
A że i ojcowicka była, — to jest córa
kmieca — więc pod dom Jacków niejedna już fura
zjechała z dziewosłęby, nieraz zalotnicy
w wąskiej, przed dziewki oknem, stawali ulicy.
Ale nic nie wskórali, bo piękna dziewucha
na zalotników słodkie słówka była głucha.
Raz bowiem na odpuście zielnej Matki Boskiej
gdy była na Kalwaryi, z kompanią z proszowskiej
ziemi, szli też Krakowscy i w świętej wędrówce
parobek pewien w dziewki serce wpadł,
i w główce
Hanki, Stacha z Rzędowic majaczyła postać
Myślała więc niczyją, albo jego zostać!

Jacek pacierze kończąc, zwolna ku domowi
Szedł. Głowę naprzód wyciągnął, bo nowi
zdali mu się po sadzie, z babą, chodzić goście.
Już też na niebie gasły zachodu jasnoście,
w oknie chałupy, światła zapłonęła gwiazda,
i sad pociemniał przy niej. Rozpoznając, gazda
w opłotki sadu wchodził, kto by był rozważa,
kiedy, postać starego ujrzał gospodarza,
którego po proszowskiej poznał kierezyi,
że to ten, co w odpuście był na Kalwaryi.
Świstacki, bo to on był, uchylił magiery,
rzekł: „pochwalony Jezus“, a już Jacka szczery
Śmiech i gościnne jego posłyszał witanie:

„Na wieki! Cie wy! Do nas tak niespodziewanie!
„Witajcież do nas ludzie! co ta słychać w świecie?
„Cy z daleka? i dokąd tu tędy jedziecie?“
„Bóg zapłać za witanie i za dobre słowo“
odpowiedział przybyły, a skinąwszy głową
tęgiego z po za siebie, przywoływał chłopca.
Nie zdała się Jackowi twarz młodego obca,
więc, choć w mroku wieczornym, niedojrzał
czasami
„dy to syn!“ — wołał trzęsąc młodego rękami,
a ten go pochylony pocałował w rękę.
„Chodźcież do izby“— mówi Jacek — na podziękę
„że nas tu odwiedzili, gości poczęstować
„trza“ — i na żonę wołał, by stoły gotować
biegła i do gospody słała. I wnet miodu
dzban się na stole jawił i wódka. Z ogrodu
biegła Hanka zdyszana, brzemię trawy ciśnie
w kąt i spłonęła na licu, jak wiśnie.
I po chwili, dokoła dębowego stoła
brzmiała gwara krakowska, serdeczna, wesoła,
o urodzajach, koniach, życie i pszenicy
i miód się perlił ciemny, w zielonej szklanicy.
Matka i dziewki chłopca goszcząc, częstowały,
przypijały doń, w alkierz zawoławszy mały
obok izby. A starzy, wciąż przy miodzie radzą,
czy rok mokry, czy suchy święci pańscy dadzą.
Ale Świstacki szklankę wychyliwszy szóstą,
otarł wąs dłonią, czoło zaś czerwoną chustą
i mówił: „Bracie Jacku! nie dla gwary ino

„przyjechałem tu dzisiaj do ciebie gościną,
„z domu mnie wywabiły tutaj sprawy inne.“
„Jakież to“ — pyta Jacek — pewnie rzeczy
gminne.
„pewnieście co przynieśli tu do wojewody?“
„Ej nie to! nie o jednej wioski idzie szkody
„ale o kraj, o naród, o samą stolicę.“
Jackowi krew po miodzie zrumieniła lice
i oko zabłyszczało: „Juz wiem o cem mowa!—
wołał — „o tej hałastrze, co nas, jak morowa
„zaraza nawiedziła, i chłopów i panów!
„i księdza nie oscędzi i dusi miescanów!
„Juści, my tu przy mieście dobrze o tem wiemy!
„człek się odezwać boi! musi niby niemy
„w mieście chodzić, bo pełno tych juchów Moskali.
„Patrzcie! Jak nam się w kraje nase wpakowali!
„Kiego oni tam dyabła, ci nasi panowie
„robią ze ich wpuścili! Jak się zastanowię,
„to mi się gadka roi, co królowa Saba —
„jak mówi jedna księga — jancykrysta draba
„przyjście prorokowała. Będą wojny srogie
„nastaną lata głodu i zbiory ubogie“...
„Jacku!“ — przerwie Stanisław — tu rzec
niepowsednia
„się kroi! Dziś się boska sprawdza przepowiednia
„nie czarcia!“ „Co padocie?! – “Na moje sumienie!
„w nasej ziemi Bóg cyni święte przemienienie.“
„Juści, ono by się ta zdało co odmienić!
„to, co nas trapi, z gruntu trzaby wykorzenić,

„Bo przecie i my chłopy, nie tacy ostatni!
„My takze chcemy Polskę wyratować z matni
„jako ślachta!...“ „A toście już w sedno trafili!
rzekł Świstacki — i bez to, ku wam moi mili
„przyjechałem. Cy znacie od nas Głowackiego?
„Wojtek Bartos go zowią — familianta mego?
„Cyli nie ten, co z wami był tu raz? Wysoki?...“
„Juści on! starsy będzie o jakie trzy roki
„od mego Stacha. Mego dobrego sąsiada
„syn. Żona moja ciotką mu przypada.
„To chłop mądry! I znają go nawet w Warsawie.
„Zna go i Pan Kościusko. I raz w jednej sprawie
„posyłali do niego, — przed Konstytucyą
„w dziewięćdziesiątym pierwszym — kiej rewolucyją
„mieli robić, chcąc nowej obronić ustawy
„co nas z niewoli zbawić miała i niesławy.“
„Musi on, mości panie,“ — pyta z ciekawością
Jacek — „mąderka jakiś!?!...“ „Z samym Jegomością
„Królem gwarzyć potrafi! Choć ta ożeniony,
„ale rezykant!! Ho ho!! Znają go już nasze strony!
„Rzecy bym wam tu o nim opowiadał siła!
„Ale już o tem potem. Dość, że mnie posyła
„bym się cicho dowiedział, cy by tu gotowi
„byli ludzie, iść z nami przeciw Moskalowi?
„Bo jak go wygonimy, to nastaną prawa
„równe dla wszyćkich. Juz Pan Kościusko nadawa

„chłopom ziemię! na własność i po wszystkie casy.
„Nase będą te role i łąki i lasy
„co je trzymamy czynszem...“ „Ziemię by nam dali?!
krzyknie Jacek, i obaj z ławy się porwali. —
„Na własność?! Co mówicie!!?“ „Tak ucynić mają,
„bo mówią, że i chłopi Ojcyznę kochają...“

Jak kiedy niespodziana wieść doleci ucha,
człek nie wie zrazu, złej to, czyli dobrej słucha
nowiny i zmiarkować przyjdzie zrazu z trudem
czyli płakać, czy śmiać się — tak, jakby przed cudem
stanął Jacek i w gardle uwięzgły mu słowa.
Chustkę, to wydobywa, to znów za pas chowa,
aż wreszcie łza, jak perła, jęła na wąsiskach
szklić się i padli wzajem na siebie w uściskach.

Lecz z alkierza tymczasem dochodziła gwara
i dziewcząt śmiechy srebrne. W progu matka stara
stanąwszy, widzi, jako w objęciach ojcowie
się trzymają, więc sądząc, że miodek im w głowie
już zaszumiał, ze śmiechem z izdebki wywoła
młodzież, która wybiegłszy, obstąpi wesoła
ojców, a gospodyni, Jackowa Jadwiga,
gdy się ściskać przestali, na córeczkę miga
by się cofnęła. Sama za rękaw parobka
ciągnąc, dworować z ojców rezolutna chłopka

poczęła: „Dobry miodek ano! Tatusiowie,
„co się już tak kochacie! Na zdrowie! Na zdrowie!
„Starzy, jak starzy! Krew se ozgrzewają miodem!
„a potem się ściskają! Ale nie tak w młodem
„pokoleniu! Hej starzy! Wy se tu pijecie,
„a ja tam juz przedałam pierworodne dziecię!“
Nie rozumiejąc Jacek, pytającem okiem
wodzi z żony na dzieci, gdy do ucha, bokiem
parobek rodzicowi szepnie cicho słowo:
„Przemówcież ta tatusiu!...“ Stary się pąsową
chustką obtarł, oburącz wąsów podkręciwszy,
chrząknął, i resztę w szklance duszkiem wychyliwszy,
rzecze: „Ano! to drugie, a Ojcyzna przódziej!
„ano pokłoń się ojcu! przecieś nie jest złodziej
„zeby ukraść dziewuchę! poproś ze ich śmiało!
„obłap ojca za nogi!...“ Jacek, aż o mało
dzbana nie zmiótł rękawem, tak był zadziwiony.
„Co to? Jak?... o co idzie?“ zapytywał żony,
ale ona za rękaw ująwszy parobka
ku mężowi go pchnęła, rezolutna chłopka,
i rzekła: „Toś ty śmiały był tam... z kobietami
„a ojca to się bois?...“ Parobek rękami
objął Jacka kolana, w ręce go całował
i: „Panie ojce — mówi — bardzom się radował
„że z tatusiem tu idę, bo mi się dziewucha
„wasa udała... o nią prosę...“ „Patrzcie! zucha! —
rzecze Jacek nareszcie — tom teraz zrozumiał!
„ledwie przysedł, a juz się z dziewką porozumiał!

„Ja córkami nie rządzę! dziewucha matcyna!!...
„Bardzo się memu chłopcu udała dziewcyna
„wasa — rzecze Świstacki — od lata samego
„kiedyśmy to z odpustu wracali świętego
„z Kalwaryi, juz ino myśli do Bronowic
„się ożenić!... Choć kmiece córki ze Rzędowic
„rade za mego Stacha by sły, co śwarniejse.
„Ale, co się podoba komu, to milejse
„od złota i od roli. Tuście, widzę, kmiecie
„porządni i ja także Bogu dzięka! Śmiecie
„mam własne, rola seroka w zagony,
„koni para i krowy i dom postawiony
„niedawno. Choć ta Pan Bóg dał dzieci kielkoro
„ale Stachowi jesce ostanie się sporo."
„Dy ta i my nie zgorsi", — przerwie gospodyni —
„od krów, mleko pod miastem codzień duzo cyni,
„roli trocha, my starzy, młodego nam zięcia
„trzeba..." Lecz chłopak kubkiem przypił do dziewczęcia:
„To zdrowie Hanuś!..." Dziewka, cała zrumieniona
pół do ściany, do niego na pół obrócona,
zawstydzona, a razem rada i szczęśliwa,
przyjmuje kubek, usta zapaską zakrywa,
na znak, że nie pogardzi ni kubkiem ni chłopcem,
„zdrowie..." rzecze i zaraz wybiegła ze skopcem,
niby to krowę doić. Tak dziewce przystało
i tak się pośród wiejskich dziewek przechowało,

tak każe zwyczaj stary i święte obrzędy
po dziś dzień pośród chłopów przechowane
wszędy.

Starzy razem z parobkiem, po wyjściu dziewczyny,
umówili wyprawić zaraz zrękowiny,
a niedługo po żniwach sprawić już wesele.
Bo czas niepewny, rok się niespokojny ściele
słychać mowy, że wojna rozpocznie się długa.
Pan Kościuszko już z wojskiem pociągnął do
Buga,
a z nim generał Książę Józef Poniatowski,
Wielhorski, a pod Bracław, pułkownik Gro-
chowski.

Tak szło życie w spokojnych wioskach pod
Krakowem,
gdy Polska w odrodzeniu zbudzona majowem,
obmyta z win, z wiekowych gnuśności letargów
do stuletnich wstawała z Rosyą zatargów.
Już do Polski powrócił po przez oceany
niosąc sławę i życie Wódz jej ukochany.
W odległych za morzami krainach zdobywał
laury wodza. Do kraju z powrotem przybywał,
kiedy słyszał, że Polska łańcuchy rozrywa,
chce wojny i swych synów w obronę przyzywa.
Więc broniąc Konstytucyi, prawa i wolności,
biegł Kościuszko, by szablę, krew, zdrowie
i kości

nieść w usłudze, i złożyć, w świętej polskiej
ziemi.
Lud miejski ze stanami porównać innemi,
wojsko z ludu postawić krociami żołnierzy,
chłopskiemi ramionami iść bronić Macierzy!
do życia ją podźwignąć, po konaniu długiem
rękami tych co orzą świętą ziemię pługiem.
Przybiegł, słysząc rozpaczne z Ojczyzny wołanie,
w sercach polskich zapisał wieczne przykazanie,
że: nie statysta mądry, ni rycerz orężny,
lecz Polskę odbuduje polski lud siermiężny,
Strząsnąwszy z siebie pęta ohydne niewoli,
na syna Jej wyrosłszy, z tego co go boli.

KSIĘGA II.

CZEPCE.

Po nad miastem się wschodu zapalały świty,
rozpraszając blednące zarania błękity.
Niebo, zdało się światłem różowem utkane,
niżej leży mgła jasna. Z niej, w błękit odziane
jeżą się wieże mnogie piastowego grodu,
co się ze snu, w czerwonej budził jutrzni wschodu.
Leżał we mgłę spowity. Mgła coraz rzednieje,
a niebo na nią złotem promienistem sieje.
Wieże zdają się wyższe, a długie ich cienie
błękitne, bledną zwolna, bo złote promienie
jak różdżką czarodziejską, ze mgły, dachy, mury
wywołują różowe, jasne. Wtem, u góry
ponad wieżą, co w niebo wybiegła strzelista,
wyższa nad inne, błysła gwiazda promienista
i nad tą wieżą, w małe wieżyczki wieńczoną
zajaśniała jak słońce, złocistą koroną,
zapowiadając miastu, że dzień już zaczęty,
bo już lampa Maryi, zapalona Świętej.
Z wieżyc biły zegary. A ledwie przestały
melodye się dziwne po niebie rozlały,
płynąc z góry na miasto i mury wawelskie,

jakby z nieba zagrały trąby archanielskie,
i pieśnią górną, śpiewną, niebiańską, odległą
ze snu budziły miasto, co pod wieżą legło.
Na cztery strony świata, one trąby grały.
Tak płynęły nad Polską krakowskie hejnały.

Gościniec się bronowski roił kobietami
w barwnych chustkach. Z białemi idą brze-
mionami
a drogą, wozy skrzypiąc mijają się w pyle.
Cóż to pomiędzy wozy świeci się tam w tyle?
Rószczka jakaś nad głowy wystercza zielona
wstęgami i kwiatkami suto ozdobiona.
Na koniu, co w zaprzęgu idzie na podsobek
w licowej parze z rószczką u toku parobek.
Na wozie baby siedzą, z niemi narzeczona,
Dziś po bukiety jadą, bo postanowiona
pora wesela, ksiądz już woła zapowiedzi.
Bukiet to zaproszenie. Bez niego sąsiedzi
na wesele nie przyjdą, więc kwiatki robione
po domach nosi panna, w Krakowie kupione.
Z ceremonią się wielką jedzie po bukiety.
Jadą w szaty odświętne przybrane kobiety
kupują kwiaty, wieńce i wstęgi wzorzyste
i spodnice do ślubu krasne a rzęsiste.
Bramy miejskie ze świtem otwarli pachoły,
więc wóz wjeżdża w ulicę. Wraz naród wesoły
krakowski, co po mieście na zakupy śpieszy
bronowskiemu weselu dziwi się i cieszy.

I choć lat setki chłopskie widują wesele,
jak przy maryackim staje, z drużbami kościele,
zawsze, jakby raz pierwszy widział te orszaki,
dziwi się, a uliczne gonią je chłopaki.

W bok dominikańskiego ciągnie się kościoła,
w głąb ulicy Stolarskiej, jak długa stodoła
budynek z wielkim dachem, wspartym pod-
cieniami,
pstry cały przeróżnemi w podcieniu kramami.
Między słupami siedzą tu pasamonicy
tam szewcy, tu księgarze, a nawet rzeźnicy.
Jak drugie sukiennice! Tem są tylko różne,
że, jak tamte dla miasta, tak tu się podróżne
ze wsi licznych na zakup ściągające chłopki
zaopatrują. Także chłopi i parobki.
Więc na kramach się wstęgi różnobarwne mienią,
świecą pasy żółtemi gwoździami, czerwienią
się tu czapki krakowskie i kity
pawie i świecidełka, co lubią kobiety.
Tu się nabywa dziewcząt wieńce symboliczne
ślubne, mężatek czepce, śpileczki prześliczne,
gwoździkami nabite kluczki na kluczyki,
kabzy szyte i smyczki na których nożyki
wiszą u kobiet pasa zawsze z prawej strony.
Kramik taki, jak dziewka w święto, wystrojony
wabi oko z daleka, weseli barwnością.
Za nim, stara kramarka wita z uprzejmością
gadatliwe gosposie, chłopów, gospodarzy

i towary zachwala i z każdym pogwarzy.
Tam z córką, gospodyni Jackowa Jadwiga
kupią wieniec złocisty, wstęgi, każda dźwiga
bukiety w pudle, sznurkiem powiązane paczki
a kupiwszy, na kubek idą i na flaczki.

Krakowskiej Ziemi stara i droga Stolico!
We Wiśle się dostojne Twoje widzi lico,
wieżami się zjeżyłaś, w pieczę Wawelowi
oddałaś, a Swe serce otwarłaś ludowi
swojemu, Krakowskiemu! I lud kocha Ciebie!
Matką mu jesteś dobrą! ucieczką w potrzebie!
Co dzień się fala chłopska w ulicach rozleje,
co dzień rynek chustkami barwnemi gorzeje,
co dzień twe place pełne fur i chłopskich koni!
A Zygmunt, w całej ziemi, Twoim chłopom dzwoni
I mieszkańcy Krakowa, — nie w jak innym kraju
gdzie chłopa ani widzą, ni jego zwyczaju
nie znają, lecz nań patrzą, jak na jakie dziwo —
wiedzą, jakie ich ze wsią sprzągnęło ogniwo.
Znają się wzajem, miasto chłopami się chwali,
jak panna szatą nową, lub sznurem korali!
Chłopów pełno w ulicach. Między szare stroje,
jak kwiaty świecą chustki kobiet i zawoje.
I dzwonią po ulicach ich gwary serdeczne.
Bo Kraków ich stolica! Ich miasto odwieczne!
Żleby czynił, kto dawne by zmienił porządki

i chłopów, z placów głównych powypędzał
w kątki
przedmieść, albo gdzie w boczne miasta zakamary!
Z chłopami ujdzie z miasta duch i zwyczaj stary;
Ujdzie z niemi stąd jądro i źródło polskości!
Miasto zbrzydnie! Swych wdzięków zbędzie
i piękności!
I stanie się, jak obce miasta zagraniczne
nudne, płytkie, zwyczajne, bezduszne, cyniczne:
Gdy w Krakowie zabraknie chłopskiej pstro-
kacizny,
to jakby krwi zabrakło już w sercu Ojczyzny,
I dusza z miasta wyjdzie! I Polska! I Wiara
w przyszłość i naszych pragnień święta wyjdzie
mara!
Stara Stolico nasza! Zostań chłopów grodem!
Zostań arką przymierza Polski z Jej narodem!

Dziś, plac Sczepański ciasno ludem zapełniony.
Wóz przy wozie. Od chustek cały plac czerwony.
Kupujący się kręcą, koło wozów stają,
targują się gosposie, z pachołkami łają
miejskimi, co porządek czynią po urzędzie.
Między chłopów się dzisiaj, zamięszali wszędzie
jacyś panowie młodzi, mało komu znani,
trójbarwnemi szarfami w biodrach przepasani.
Z rewolucyi francuskiej pochodzą te pasy,
u nas je patryoci nosili w te czasy.
Że, z ogórkami chłopi zawsze z Proszowskiego

przybywają na targi, więc wóz Świstackiego
stał na placu, a w cieniu, pod stragana dachem,
Jacek z Bronowic gwarzył, ze Świstackim
Stachem.
Tu i ówdzie, u boku przystojnej dziewczyny,
gwardyi się narodowej palą karmazyny,
i trójbarwne się szarfy w strój chłopski zmięszały,
a koło nich ciekawie, tłum się skupia cały.
Lecz rozmawiają cicho, nie podnoszą głosu,
oglądają się, jakby się bali donosu
czy przemocy. Bo czasem, zjawi się zielony
frak moskiewski i kołnierz wyszyty w galony.
Lecz, jeśli między tłumy, żółte się rabaty
zaświecą, a z chłopami przywita wąsaty
żołnierz, nikt się nie boi rabata żółtego!
Bo to nasz polski żołnierz! z pułku Wodzickiego!
Z pod Mogiły się chłopi wmięszali w rozmowy
i z pod Liszek, a w środek zgromadziwszy głowy
słuchają, jak pan jakiś, szarfą przepasany
mówi: „Ludu Krakowski! Hej! Ludu kochany!
„Oto Rzeczpospolita dziś Ciebie przyjmuje
„za dziecko najmilejsze! Ziemią Cię daruje!
„Już własną orać będziesz i dzieciom w spuściznie
„zostawisz rolę! ino chciej pomódz Ojczyźnie
„stargać więzy haniebne! Wypędzić Moskali!“

Chłopi słuchając, między sobą coś szeptali,
jedni wierzą, nieufni pozostają drudzy.
Zbiegają się i z wozów parobki i słudzy,

tłum coraz większy chłopów koło mówcy rośnie,
a mówca nieostrożny, rozprawia rozgłośnie.
Ale Jacek, do góry podkręciwszy wąsa,
rękę podniósł nad głowy i dłonią potrząsa,
jakby cisząc, czy grożąc, i mówi: „Panowie!
„i wy bracia! Ostrożnym trza być w swojej mowie:
„To niedawniejsze czasy! Kiedyśmy tu sami!
„pomiędzy sobą byli! Dziś nie my panami
„na swej ziemi! Bo patrzcie! Widzicie zielone
„fraki? Widzicie oczy na nas wypatrzone?
„I uszy czy widzicie, na nas nastawione?!
„Tu niebezpiecznie radzić! Bo tu dyabli czarni
„wysłuchać by nas mogli! Chodźmy do kawiarni!"
Nie wiem, czy są gdzie w innych miastach zagranicznych
takie jak tu kawarnie, gdzie się z okolicznych
wiosek, chłopi zjeżdżają i w targi gromadzą,
spoczną, o targu, życiu i kłopotach radzą.
Skromne przybytki! Jednak, ileż tam wesela,
ile gwary czy smutku, kiedy ze stron wiela
ze chrztu czyli ze ślubu, czy w smutnym obrzędzie,
zjeżdża chłopstwo, i spocząć za stoły zasiędzie!
W półcieniu izby świecą kubki i szklanice,
sukmany, między barwne wmięszane spodnice,
wąsate chłopów twarze, strzyżone czupryny,
gosposie gadatliwe, wstydliwe dziewczyny,
pawie kity na czapkach parobków się chwieją,
a w koło idzie gwara i kubki koleją.

Tam się idzie po targu, z parafii przed ślubem,
tam się chłopak zapatrzy w liczku dziewki lubem,
tam się i pisarz znajdzie, co napisze skargę,
tam i żal z głębi duszy wybiegnie na wargę,
tam i śmiech, tam łza czasem na oku zaświeci,
tam i babki ochrzczone utulają dzieci.
A ileż tam się zawrze dobrych znajomości!
Ile wspomnień z tych izbic! Ile tam miłości
zapłonęło w serduszkach prostych — wiejskich
dziewek!
co chłopców nasmaliło ku dziewkom cholewek!
Prawdziwe to przybytki życia, serc, pokoju,
i wypoczynek dobry, po codziennym znoju!
Przybytku gospodyni, każdemu znajoma,
wita wszystkich, wie, ile kto dzieci ma doma,
kto z kim krewny, kto wójtem, kto kumotrem
będzie,
i kto się z kim prawuje w sądzie czy urzędzie.
Zapraszana też często, wozi na wesela
słodkie ciasta, i słodkie wódeczki rozdziela
między baby, doradza, albo koi troski.
Nad szynkwasem, złocisty obraz Matki Boskiej,
a czerwona się lampka pod obrazem miga.
Tam idzie gospodyni Jackowa Jadwiga.
Właśnie tam pięciu Czepców zastała swych braci.
Wszyscy sobie podobni, dorodni, wąsaci,
wszyscy głowy strzyżone w czupryny, jak wiechy
mają. Czupryny takie nazywają strzechy.
Najstarszy Maciej, starym wójtem nazywany,

głowa nad głowy, cięty, wesoły i szczwany
lis. Bywał wójtem lat dwadzieścia przeszło,
stąd: stary wójt, nazwanie, w pokolenia weszło.
A że staruszek lubił nadobne kobietki,
więc ku babom się przysiadł i ręką kaletki
gorsetów obejmował i dowcipy prawłł
i jak młody, z babami śmiał się i ubawił.
Gorszyło to drugiego brata, co Błażeja
nosił miano, lat dziesięć młodszy od Macieja.
Wysoki był, poważny, a tak wielkiej siły,
że mu się okoliczne siłacze dziwiły
kiedy beczułkę pełną, złapie za wątory
końcem palców i ręką podnosi do góry
ze ziemi i na stole stawia ją spokojnie.
Lecz, mimo siły, nigdy nie przychwalał wojnie
ni bitce, bo był mądry i bardzo stateczny.
W razie bitki był jednak braciom pożyteczny.
Wojciechowi Czepcowi nigdy nie wierzono
gdy co mówił. Bo niby poważny, a ono
pewnie figiel ma jaki na myśli prawdziwy.
Pieter, z Czepców, najbardziej był może poczciwy,
dla familii oddany, byle łba nie zalał!
bo podpiwszy, gwałtowny był i w bitce szalał.
Wreszcie Józef staruszek, rzadko był widziany,
bo mieszkał w Błoniu. Zawsze serdecznie witany
przez braci i przez całą ceniony rodzinę.
Siostrę wchodzącą witał i gładził dziewczynę
po liczku, gdy go w rękę grzecznie całowała.
„Coście to siostro! — pytał — co nakupowała?

„Cosi się widzę kroi...“ tu mrugnął znacząco
na braci, a dziewczynie liczka się gorącą
falą krwi zrumieniły. Doskoczył Maciejka:
„Niech nam tu kubki wszyćkim stawi Dobrodziejka!
— krzyknął — dziś we familii mamy zrękowiny:
napijewa się bracia! za zdrowie dziewczyny!“
Gospodyni, przed gości, kubki stawiać jęła,
kiedy izba się ludem napełniać poczęła,
i cisnęli się tłumnie chłopi z krakowskiego,
i z za Wisły i z dalsza nawet: z proszowskiego.
Wszedł i Jacek i chłopi też inni z Bronowic
i obaj też Świstaccy weszli, ze Rzędowic.
Ale, wśród nich się jeden wyróżniał postacią
wyniosłą i powagą między chłopską bracią,
co — choć młody — otaczać się zdała szacunkiem
gościa, sadząc za stołem i częstując trunkiem.
Staszek, ku swojej Hance przysiadł się Świstacki
i rzekł: „To Wojtek Bartos, zowią go: Głowacki.“

Bartos, chłop, lat trzydziestu, barczysty, wysoki,
smagły, twarzy pociągłej, a w szczękach szerokiej,
czarny wąs mu osłania wargi zaciśnięte,
na czole, fałdy myśli głęboko werżnięte.
Wszedł z panem, co trójbarwnym przepasał się pasem.
Posadził go, i krzesło sunąwszy z hałasem
„Pochwalony — rzekł — Chłopcy! wiodę wam tu człeka...“

„Obywatela!... — przerwał miastowy — z daleka
„bo aż z Francyi, przyszło do nas to nazwanie...“
„Cekojcie — rzecze Bartos — ja im tu, mój
Panie
„wszyćko wyłozę nasą zrozumiałą mową:
„Jak ten pan opowiada, Konstytucyą nową
„którą król na dniu maja ogłosił trzeciego,
„nie ma chłopów ni panów, równy wart równego!
„nie ma chłopskiej niewoli, ni pańskiej własności,
„bo odtąd, ramię w ramię, w zgodzie i miłości
„żyć, jako równi mamy, jak obywatele
„wspólnej matki, co po nas oczekuje wiele!
„Mili bracia! Krakowscy! Gospodarze! Kmiecie!
„Że nas Moskal najechał, o tem wszyscy wiecie!
„ale nie śtuka siedzieć, płakać i narzekać!
„Stuka się nie dać! bronić! I bić, a nie zwlekać!...“
„Bić!! Bić!!... “wrzasnęli wszyscy, zabłysły
źrenice,
jak las się po nad głowy podniosły prawice.
Wszak to krakowskie chłopy! Zuchy nad
zuchami
W bitkę idą jak w taniec, z gołemi rękami!
Aliści, Czepiec Błażej, chłop ogromnej siły
co mu się okoliczne siłacze dziwiły,
ale mądry, więc każdej przeciwny był wojnie,
wstał i rzecze: Hej Chłopi! Radźmyż se spo-
kojnie:
„Niechze Głowacki mówi! Bo nie skońcył pono!
„We Warsawie ustawy nowe ogłosono,

„więc niech mówi! Cichojcie! Niechze nam opowie,
„za co najjaśniejsemu dziękować królowi
„winniśmy i tym panom szlachcie, co niewolę
„nam znieśli, a wejrzeli na chłopską niedolę!“
Zaczem się uciszyło. Niektórzy siadali,
inni, kupą się cisnąc, ciekawie słuchali.
„Chłopcy! — ciągnął Głowacki — juścić darowali
„nam wolność. Moze ziemię by nam tez rozdali!
„Ale chłopcy! Ten trzyma, co sam co zdobędzie!
„i ten wolny, co ostre ma w ręku narzędzie
„Ślachta dotąd za Polskę sama wojowała,
„stąd szable dzisiaj nosi, stąd ziemię dostała.
„My chłopi, w nasych wioskach, nie wiemy co wojna!
„Nie nam Polska! Nam praca pozostała znojna!
„Hej chłopcy! Zeby nom tak w rękach błysły kosy!
„Hej! uciekałby moskal! Bez portek i bosy!
„Hej chłopcy! kto ma w ręce kosę i kto chrobry,
„Kto bije, ten jest taki jako ślachta dobry!“
„Kosy! Kosy!...“ zawrzało jak w ulu — Broń nasa!
„Bij! morduj! Chodźmy zaroz!... Już z Moskala kasa!
„Wiedź Głowacki! Chłopaki! do kosy! do broni!“

Już by byli wybiegli i dopadli koni
Już by ze stołków były poleciały trzaski

ale baby skoczyły, rozległy się wrzaski,
piski kobiet przelękłych, płacze i lamenty.
A Maciejka, co trochę był już i podcięty,
a że kulał na nogę, nie mógł biegać raźno —
stanął we drzwiach i mową głośną i wyraźną
począł ich uspokajać: „Waryoty! pijoki
„cyście wy osaleli?... Dy was ladajaki
„patrol moskiewski śtykiem, cyli bagnetami
„wytraci!... A co będzie z wasemi babami?...
„Ja wszyćkim rady nie dam!... choć je ta i lubię!...
„Ja wam mówię: Kazdemu baba łeb oskubie!"
Zaczem się uciszyło. Niektórzy siadali.
W myśli były im baby. Bab się bardzo bali.
Ale na stołek skoczył pan w szarawym fraczku.
Mówił gładko, bo widno pociągnął araczku,
i jął powiadać długo i o Konstytucyi
i o panów tyranii i o rewolucyi
francuskiej i o nowej religii Rozumu,
o królów nikczemności, o wszechwładzy tłumu,
i o tem, jakby u nas nowy ład wprowadzić,
jak wolności tyranów, ze świata wygładzić.
Lecz na to, Wojciech Czepiec, co mu nie wierzono,
gdy mówił: „Panie!" — rzecze — „najlepiej by pono,
„żebyś się Pan ogłosił tu gubernatorem,
„jak Łykoszyn..." A na to naraz całym chórem
ryknęło zgromadzenie, śmiechem, szczerym, głośnym.
Byliby go szarpali. Lecz głosem donośnym

zawołał Pietr: „Gazdowie! Na święto trza sieczki
„urznąć!!...“ I naraz wszytko: baby i dzieweczki,
parobcy, gospodarze, słudzy i furmani
płacą kubki, do wozów, jakby opętani
lecą, bo wieczór blisko, do domów daleko.

I za chwilę się wozy po gościńcu wleką
jeden za drugim. Chłopi wracają na wioski.
Jutro święto zachodzi wielkie, Matki Boskiej,
więc trza co w domu zrobić i obejść gadzinę,
żonie coś opowiedzieć, pohuśtać dziecinę.
I tak płynęło życie w podkrakowskiem siele.
Stacha z Hanką się w lecie odbyło wesele,
jesień przeszła i zima. Lecz, gdy zeszły śniegi,
zaczęli chodzić ludzie jacyś, ni to szpiegi,
ni to emisaryusze. Przynosili wieści
dziwniejsze od słuchanych w długą noc powieści
bab starych, albo starców, co zapamiętali,
jeszcze jak Szwedzi kiedyś, Kraków rabowali.
Kościuszki coraz częściej słyszało się imię,
i wiosna niespokojna, szła po cichej zimie.

KSIĘGA III.

PRZYSIĘGA.

W Małopolsce, wzdłuż całej węgierskiej granicy
rozsiadły się — jak zbrojni Ojczyzny strażnicy —
zamki warowne, w lasach, wzniesione na górach,
wieżami najeżone, z działami na murach.
Lecz, nie tylko strzedz granic one zamki miały,
bo dobrobyt i światło w koło rozsiewały,
jako Benedyktynów, Chrobrego opactwo,
na skale, niby gniazdo, gdzie królewskie ptactwo,
herbowe Polski, chowa swe dumne pisklęta.
Koło skały pionowej, wije się tu kręta
Wisły srebrzysta wstęga, pomiędzy szczeremi
polami, między wiklem i lasy ciemnymi.
Że zaś, na skale niegdyś, prasłowiańskie tyny
stały i Lachów stare świątynie: gontyny,
przeto lud, ku Krakowu, ciągnący gościńcem
nad Wisłą, gdy gród mijał, nazywał go: Tyńcem.
Tysiąc lat gromadzono tu skarby, bogactwa,
Tysiąc lat się nauka szerzyła z opactwa,
aż z upadkiem Ojczyzny, rozszalałe burze
i działa Suworowa, porobiły w murze
prastarego zamczyska, tak wielkie szczeliny

że dziś już tylko smutne, widnieją ruiny.

Zamki nasze! Ojczyzny warowne strażnice!
Czy jeszcze kiedykolwiek zamkniecie granice
niepodległej Ojczyzny? czy z wież waszych bronnych
powieje kiedy jeszcze sztandar ziem koronnych?
Czy zagrzmią z waszych murów tryumfalne działa
głosząc ludom, że Polska z grobu zmartwychwstała?

Ze zamkowej się bramy, zakręca ku rzece
droga stroma, przy której, karczma się opiece
zamku, jakby zlecając, pod skały ścianami
osiadła u przewozu. Flisy z galarami
stawać tu zwykli, Wisłą płynący do Gdańska.
Znaną podróżnym była karczma nadwiślańska,
tem bardziej, że już Wisła była w czasy owe
granicą, co dzieliła ziemie cesarzowe
od reszty Polski. Lewy zaś brzeg już Moskali
widział, bo aż w Krakowie już obozowali!
W tej karczmie się francuski żołnierz — konfederat
barski, Choiseul bronił. Stąd żołnierz — desperat
Śmigielski na wycieczkę wyprawił się sławną,
w zamek Wawelski wszedłszy, smoczą jamą dawną.
Do tej karczmy, w tym roku, wiosną, w nocnej porze
zajechał wózkiem chłopskim w podróżnym ubiorze

samotrzeć: pan jakiś, na popas. Podletni,
twarzy suchej, zdał się być pięćdziesięcioletni.
Patryotów zwyczajem, nie nosił peruki
lecz włosy długie. Z woza mu zniesiono juki
niewielkie, widno tutaj pragnął przenocować;
Kazał sobie wieczerzę skromną przygotować.
Towarzysze zaś jego, skwapliwie pytali,
czy bezpiecznie wiślanej powierzać się fali,
i czy z Polski nie przybył kto, drogą z Krakowa.

Niedługo, przed gospodę zajechała nowa
bryka, od granic Szląskich przywożąca gości.
Jednego ubiór księdza zdradzał jegomości.
Gospodarz, ... obawiał się straży,
co krążyły granicą, z żoną radzi, gwarzy,
i kto by był roztrząsa, gdy do karczmy żywo
wszedł flisak z Czernichowa, nazywany Grzywą.
Za nim weszli i inni i ławy obsiedli,
pozdrowiwszy podróżnych, co za stołem jedli.
Z jednej się strony izby skupili panowie
rozmawiający szeptem, a z drugiej flisowie
z gospodarzem, o gościach szeptają ciekawie.
Ale Grzywa, flis stary, niedawno w Warszawie
był i wieści przywoził, że ma do stolicy
przybyć sławny Kościuszko, z kądsiś, z zagranicy,
że go w Dreźnie naczelną obdarzono władzą,
i że podobno wojnę Moskalom wydadzą
pod Kościuszki najwyższą wodzą i buławą.
Że Kościuszko za morzem okrywał się sławą,

że do Polski powraca, że chce niepoznany
przejść granicę i pono że mu ukochany
ma być lud wiejski, że lud ten chce ogłosić
wolnym,
i że naród do wojny chce uczynić zdolnym.

Tak mówił Tomasz Grzywa, flisak z Czernichowa,
Lecz przed karczmę podwoda zajechała nowa
a do izby wszedł człowiek w płaszczu,
że wojskowy
poznać było po ruchu, po trzymaniu głowy
i po chodzie, gdy, izbę przeszedłszy, pierwszego
z podróżnych witał. Widno było, że znacznego
dygnitarza, bo z wielkiem go uszanowaniem
za rękę ściskał. Tamten z ukontentowaniem,
oraz serdecznie bardzo witał przybyłego.
Ale Grzywa, w przybyłym poznał Wodzickiego
generała, a widząc, jako się panowie
koło pierwszego gościa kupią, coś po głowie
chodzić mu poczynało, gospodarza woła,
i szepcze odciągnąwszy w głąb izby od stoła:
„Słuchajcie! Znaczni jacyś to będą wędrowni!
„Nie byle kto! To będą sami jacyś główni,
„bo generał Wodzicki, z Krakowa mi znany
„tu jest, a tylko pewnie nie chce być poznany“.
Lecz Wodzicki posłyszał Tomka Grzywy mowę,
I niespokojny rzecze: „Wodzu! Daję głowę
„że . . . . . . chłopów na zwiady wysłali,
„by Cię schwytać i w ręce Cię wydać Moskali.

„Jedźmy nocą przez Kostrze, rano do Podgórza
„zdążymy. U Krakowa zaś będąc przedmurza,
„łatwiej niespostrzeżenie, przez most się przebrani
„dostaniemy. Boję się, czy to nie nasłani...“
Ale przerwał mu Grzywa, flisak z Czernichowa:
„Generale! Choć prosty ja chłop, ale mowa
„Wasza dotknęła bardzo mnie, Grzywę flisaka!
„Ja nie szpieg! Ja mam serce prawego Polaka!
„Ja wiem, bom był w Warszawie, że teraz czekamy
„Generała Kościuszki! My go tu nie damy
„. . . . . . . wyśledzić! My go zgrabnie, grzecznie,
„do Polski zaprowadzić potrafim bespiecznie!
„Jaśnie wielmożny Panie! Jeżeli Wam znany
„Pan Kościuszko, przez wszystkich w Polsce ukochany,
„to prosimy pokornie, my, biedne flisaki,
„niech nam tylko znak dadzą umówiony jaki,
„a my i piersią własną go bronić będziemy
„i bespiecznego w miasto, nocą wprowadziemy.“

Ale, pierwszy z podróżnych, wsłuchiwał się bacznie
w mowę Grzywy, pozierał na niego nieznacznie,
przystąpił doń, coś w oczach mu się zapaliło.
Flisaka postać tuląc do siebie pochyłą:
„Bracie!“ — mówi — „Ojczyzny dobrym jesteś synem!

„Pójdę z Wami! z narodem! ze szlachtą i z gminem!
„Wierzę wam! i dziękuję imieniem Ojczyzny!
„z wami pójdę do boju na śmierć i na blizny!
„i wierzę że ją wrogom odbierzemy razem
„bo w bój z miłością pójdziem, choć w dłoni
z żelazem.
„Chciałbyś mówić z Kościuszką?...“ „Panie! —
rzecze Grzywa —
„Pana Kościuszkę widzieć!... A! Kaj on prze-
bywa?!...“
Lecz Wodzicki: „miej — rzecze — święto!...
jubileusz!...
„Ściska Cię sam Naczelnik! Kościuszko Tadeusz!“

Jakby grom w niego strzelił, tak osłupiał Grzywa.
Kościuszce do rąk przypadł, lecz się z ławy zrywa
reszta chłopów i nuże Wodza za kolana
brać, po rękach całować, szczęśliwi że Pana
Kościuszkę, Naczelnika całego narodu
mają tu, na swej ziemi, tu u Wisły brodu!!
Lecz ksiądz Kołłątaj, (on to był w duchownych
szatach)
ciągle oknem wyglądał, jakby stał na czatach,
bo ostre, niepokoju drażniły go ciernie.
Huzarów . . . . bał się niepomiernie,
rozumiejąc, iż . . . . . o Kościuszce wiedzą
że przyjechał i że go na granicy śledzą.
Rad z mowy flisa, chociaż na nogi był chory,
chodził po izbach, sieni, wreszcie do komory

Grzywę wołał: „Czy karczmarz, człek jest pewny“
pyta,
„czy . . . . , żona jego, jak kobieta,
„gdyby przyszli, o Wodzu czego nie wygada,
„w razie napadu wreszcie, jaka by tu rada
„była, aby Kościuszkę, przed strażą zasłonić
„graniczną i narodu skarbu nie uronić“

Grzywa, pomyślał nieco i chłopom na bary
kazał podróżnych rzeczy brać i na galary
znosić, mówiąc że Wisłą spławi na Podgórze.
Konie zaś posiodłane trzymał na oborze.
Na zamek i do wioski porozsyłał gońce,
a świtem zbudził wszystkich, by, nim zejdzie
słońce,
wieść ich znanemi drogi. Jedzie konno w przodzie
kołem tynieckiem. Wikle tam rośnie przy wodzie
gęste, w niem ścieżyn pełno krętych, oku skry-
tych,
tędy prowadzi Grzywa wodzów znamienitych
przed . . . . . . okiem przebiegle ich chowa.
Tak prowadził Kościuszkę Grzywa z Czernichowa.

Wiosenny ranek wczesny powyzłacał drzewa
ogrodu, a po ziemi fiolet rozlewa
cieniów, co się niebieską siateczką misterną
rozłożyły na ziemi. Ciszę tu niezmierną
poranku, z sąsiedniego, ojców Kapucynów
klasztoru, mąci dzwonek, jak głos cherubinów

na modlitwę poranną wołający, cichy.
W tęczy szkieł barwnych chodzą ubożuchne
mnichy
i w błękitach kadzideł, w kwiatów silnej woni,
a cienki dzwonek ranny, Anioł Pański dzwoni.
Kobiet kilka, na ziemi złożyło koszyki
klęcząc modlą się, cichej słuchając muzyki,
co z za ołtarza płynie lekko przytłumiona.
W jej tonach pieśń do Boga płynie podniesiona.
Ksiądz wyszedł ze mszą ranną. U ołtarza progu
Wódz naczelny ukląknął, pomodlić się Bogu.
A przy nim kląkł generał, z żółtemi wyłogi.
Od ołtarza się zwrócił zakonnik ubogi
z twarzą świętego, suchą, bladą, wniebowziętą
i rycerzom relikwię dał całować świętą.
Poczem, z błogosławieństwem ku nim się nachyli.
Lecz wraz, szabel błyszczących rycerze dobyli
i złożyli je na krzyż. Ksiądz wodą święconą
pokropił Naczelnika szablę obnażoną:
„Szablo! bądź poświęcona!... Wodzu! Twą sza-
blicę
„i Twoją dla Ojczyzny poświęcam prawicę...“
„Boże! — mówi Naczelnik — u Twoich ołtarzy
„przysięgam, że tą szablą wypędzę mocarzy
„z Polski, albo sam legnę!...“ „Amen...“ W jasny
ranek
idzie bohater cichy, Ojczyzny kochanek,
idzie promienny, wielki, dla Ojczyzny święty!...
idzie w rynku przysięgać!...

Wielki dzień zaczęty!...
Już od rana krakowski rynek zapełniony
ludem, wojskiem. We wszystkie uderzono dzwony
na wieży Panny Maryi, dzwonnicach kościołów.
Aż się, ciągniony niegdyś w górę przez sto wołów
ze swej siedziby górnej, na Wawelskiej górze
ozwał Zygmunt.

Jak, kiedy w gradowej się chmurze
słyszy, zrazu dalekie, potem bliższe granie
piorunów, jakby z nieba ogromne wołanie
trąby, co na sąd boży zmąci grobów ciszę,
tak Zygmunt, gdy się w oknie swojem rozkołysze
napełni naprzód wieżę, potem miasto, Ziemię,
jakimś głosem ogromnym, co uderza w ciemię,
wstrząsa piersią człowieka, oddech mu zapiera,
myśl porywa w przestworza, do serca dociera,
i człowiek, w głosie dzwonu zasłuchany, głuchy,
słyszy tylko jak w koło królów jęczą duchy!...
A potem się w harmonii dzwonów już tysiąca
rozjęczy pieśń królewska i tryumfująca
Polskę całą z wiekowej wywołując toni!...
Tak Zygmunt, dzwon królewski, na Wawelu
dzwoni.

Dzwony! Dzwony krakowskie! Dzwony coście
grały
Kiedy Kościuszkę w Rynku, witał naród cały!
Dzwony! Coście witały Go, jęcząc ogromnie,

powiedzcie! jak samotrzeć, z Szewskiej bramy
skromnie
ten wódz wielki, przed wojska podchodzi szeregi
w Rynku, polskim narodem, pełnym aż po brzegi.
W mundurze, w którym bronił wolności zasady
w Ameryce, spokojnie na wojska parady
ręką do siwej czapki polskiej salutował,
naród witał, i ręką za okrzyk dziękował.
Aż skinął. Pochylono chorągiew czerwoną
srebrnym orłem i srebrną frendzlą ozdobioną,
a u grotu, wstąg chłopskich, żółtych i zielonych
wzorzystych pęk, od wiatru miga, poruszonych.

I naraz, dzwony ścichły. Ucichły i tłumy.
Ucichły bębny wojska. I jakby zadumy
dech przeleciał nad rynkiem, nad miastem, wie-
żami,
nad Ziemią i nad Wisły srebrnemi falami.
Jak kiedy w podniesienie, ucichnie w kościele
lud, i chyli się kornie, przed Bogiem się ściele,
organ huczy, jak mucha olbrzymia, brzęcząca,
tak tu było. Aż błyśnie szabla, jak miesiąca
pół-kole, po nad głowy wzniesiona wysoko,
a w klindze się słoneczne promieniło oko
Oburącz wzniósł Naczelnik szablę zakrzywioną
i począł mówić wolno, z głową obnażoną
rotę przysięgi Bogu i Polsce złożonej:
„Ja, Tadeusz Kościuszko, władzy powierzonej
„na niczyjej wolności nie użyję szkodę,

„lecz za prawo, za wolność wojsko w bój po-
wiodę!
„Tak mi dopomóż Boże! i niewinna męka
„Twego syna!,..“
Ze szablą zniżyła się ręka.
Lecz chwilę stał i w górę patrzał zachwycony.
Aż na raz hukną działa, jękną wszystkie dzwony,
warknęły bębny wojska, sztandary schylono
i na wieżycach miejskich w trąby uderzono.
Zahuczał Zygmunt basem potężnym, głębokim,
i lud, chórem tysięcy zaśpiewał wysokim:
„Tobie cześć chwała“ piersią śpiewa lud ogro-
mną...

Tak złożył Pan Kościuszko przysięgę niezłomną.

Szablę schował do pochwy. Wodze kołpakami
głowy kryją. Chorągwie wionęły orłami,
Komenda!... i do nogi wojsko karabiny
spuszcza, kiedy od chłopów w sukmanach dru-
żyny,
co za sztabem, przy wojsku zgromadzona stoi,
dwóch chłopów idzie, zbliżyć do Wodza się boi.
Lecz wreszcie zdjęli czapki, magierkami zwane
i dwa worki przynoszą sznurem zawiązane
niewielkie, ale widno ciężkie. Przystąpili
i Kościuszce pod nogi worki położyli.
A Tomasz Grzywa, flisak że wsi Czernichowa,
w takie do Naczelnika, odezwał się słowa:

„Najjaśniejszy polskiego narodu hetmanie!
„Cały naród Ci składa ofiary i danie,
„byś miał za co wojować i pobić mocarze,
„co nas duszą. I my też, chłopi, gospodarze
„pomyśleli: Kiej wszyscy Ojczyznę ratują,
„Kiej ni zdrowia, ni mienia Jej nie pożałują,
„To i my, między sobą, cośmy uciułali,
„zebrawszy, miedź na złoto wymienić kazali,
„i dukatów Ci tysiąc, chłopskiej oszczędności
„przynosimy na wojnę, w obronie wolności.
„Przyjmijże Wodzu! grosze, od chłopów z nad Wisły."
I rozwiązywał worek, aż dukaty błysły.

Naczelnik się zadziwił Tomka Grzywy mowie.
Ciekawie otoczyli flisaka Wodzowie,
Kościuszko worki złota, oddał miasta straży,
i myśli: z takim ludem, na wszystko się waży!
i wywalczy Ojczyźnie z pęt oswobodzenie!
W serce wodza nadziei wglądają promienie,
wzruszony, rzecze, dłonią potrząsając Grzywy:
„Oto mój lud kochany! Mój lud nieszczęśliwy
„grosz swój przynosi, w czoła zarobiony pocie!
„Dusza jego się świeci w tych dukatów złocie!
„Sojusz ludu z Ojczyzną ogłaszam dziś wieczny,
„i dziękuję ci z serca, ludu mój serdeczny!
„Tobie! Tomaszu Grzywo! gorącą podziękę..."
Tu, Naczelnik głos urwał. Flisaka za rękę
ściska... Umilkły tłumy, wodze i żołnierze.

Jakaś rzewność niezmierna wszystkie serca bie-
rze...
aż się ozwie komenda!... W znak nadziei, wiary,
chylą się przed chłopami wojenne sztandary!
I wschodzi po nad Polską jutrznia życia nowa:

Tak nosił grosz Kościuszce flisak z Czernichowa.

KSIĘGA IV.

W STARYM DWORZE.

Stary dworku! Z modrzewia dawno postawiony!
Z wielkim dachem i gankiem! wiekiem pochylony!
Śmiały się niegdyś do mnie, twoje białe ściany
gdym cię zobaczył zdala! Domu ukochany!
Z wirów życia, z zawiei jego i pożogi
jak w cichy kościół szedłem, w twoje święte
progi!
Boś mi był jak świątynia jasnej, czystej cnoty,
i pokoju, co troskę leczy i zgryzoty!
Domu ojców! W drzew starych otulony cienie!
Świętem mi pozostanie twe rzewne wspomnienie!
Nie było w tobie fałszu, kłamstwa, ani trwogi,
złości ludzkiej, co rzuca kamienie pod nogi
każdemu, co ukochał trud i prawdę szczerze!
Giniesz! W czasu i mody podłej poniewierze!
Przeżyłeś, stary domu! twój dzień historyczny!
I umierasz, oplwany przez motłoch uliczny,
wyśmiany przez krzykaczy i agitatorów!
A jednak... Ileż z polskich, cichych wyszło dwo-
rów
ludzi, co się zasłużyć umieli Ojczyźnie!

Ilu wygnańców stamtąd marło na obczyźnie!
I z ilu dworów młodzież wyginęła cała,
bo krew na polach bitew powstańczych przelała!
Ilu z tych domów poszło, aż do jam nerczyńskch,
Ile łez za Ojczyznę trysło sierocińskich!
A ileć się przyjaźnie uśmiechało twarzy,
domku! do twych mieszkańców — z wiosek gospodarzy!
Ile kobiety twoje nosiły pod strzechy
oświaty i pomocy, grosza i pociechy!
Czemuż dziś modą twojej uwłaczać pamięci?
Czemuż mieszkańcy twoi są jakby wyklęci?
Czy . . . . pamięć, czynowników ruskich,
niemieckich doktrynerów, cyników francuskich,
milsza ludziom, od twego dziś domku wspomnienia?
Widno tak! Bo na inny świat się dziś odmienia.
Może nas nierozsądnie w tych domach uczono,
że świętą jest Ojczyzna, którą umęczono.
Że chłopiec, po to w Polsce, na świat się urodził,
aby za nią umierał, lub w kajdanach chodził.
Może to myśli śmieszne, mało postępowe!
Dziś, inne sprawy ludziom zaprzątają głowę!
Lecz, gdy minie dziejowa, przełomowa chwila,
kiedy kona świat stary, a nowy wychyla
z toni, z której i cnota ma wyjść i szczęśliwość,
domku! Historya tobie odda sprawiedliwość!
Ja tymczasem, cię w serca przechowam tajnikach

z twoim jesionem starym i z chmielem na tykach,
co ganek, jakby ściana zielona osłania,
ze szpalerem, pierwszego świątynią kochania,
i ze starym lamusem, sienią, komnatkami!...
Żegnaj mi dworku biały, pomiędzy drzewami!...

W dziedzińcu dworskim dzisiaj i rojno i gwarno.
Hałas gniewa szafarkę starą, gospodarną,
ale się nie sprzeciwia, nie łaje, nie zrzędzi,
choć spokojnego miejsca nie zna ani piędzi.
Bo dziś, coś się tu dzieje. Dziś chłopów do pana
Ślaskiego pełno chodzi, od samego rana.
Pan kazał ich ugościć, sam częstuje hojnie,
i o czemś ważnem radzą! Zdaje się o wojnie!
Pan Ślaski dobył z biura kluczyk zardzewiały
i z Bartosem otwierać idą arsenały,
to jest lamus zamczysty, z kamienia wzniesiony
i, jak twierdza, w okrągłe okna dziurawiony.
Po ojcach tam, pan Ślaski, sporo starej broni
miał schowanej i rzędów dla żołnierskich koni.
Więc idzie, a z nim Bartos, nazwany Głowacki,
i inni gospodarze, i stary Świstacki.
Młody się w roku zeszłym żenił w Bronowicach
z Hanką Jackowną. Dziś go nie ma w Rzędo-
wicach.
Lecz dwa dni temu, razem zeszli się na rynku
w Krakowie, kiedy wojsko stawało w ordynku
i lud się tłumnie zbierał. Stanęli ciekawi,
i widzieli Kościuszkę!... jak się w rynku jawi

i dobywszy, jasnego. jak słońce pałasza,
uroczystą, na sztandar przysięgę wygłasza.
Siła tam było ludu ze wsi od Krakowa.
Był tam Stach z młodą żoną, była i Jackowa,
Stachowa pani-matka, Czepce wszyscy pięci,
bo wiedzieli że w mieście się coś dzisiaj święci.
Że z Tyńca, przybył wczoraj, z razu niepoznany
Sam Kościuszko, Naczelnik niedawno obrany.
Widzieli jak przysięgał, jak ściskał flisaka
z Czernichowa, i siła im wstąpiła taka
w kości, taka do wojny wzięła ich ochota
że za nic im wiosenna była już robota,
choć właśnie ciepłym wiatrem otężały pola.
Pan Śląski mówił ludziom, jak Polskę niewola
dotknęła, jako srogie doświadczenie boże,
jak naród konstytucyi wprowadzić nie może
co ją przysiągł król z Sejmem, za ojce, za dzieci,
za wnuki i prawnuki. Właśnie rok już trzeci.
Dziś więc, choć się roboty zbliżają wiośniane
przyszli chłopi do dworu, po strzelby schowane
w lamusie. Strzelb zaledwie było ze trzydzieści.
A tu ciżba! Na ganku lud się już nie mieści,
wszyscy broni żądają... „Chłopcy!...“ Śląski mówi,
„Wszakżeż są na kosiskach kosy! Kowalowi
„zanieść kosy, niech młotem prostuje kolanka!
„drzewca wam w lesie moja dostarczy polanka,
„młodych świerków tam sporo i trochę olszyny.“

Ale z Bartosa oczu, z tajemniczej miny

widać było, że on już broń obmyślił nową.
Na chwilę wszedł do sieni i kosę gotową
na sztorc wbitą, na długiej ale lekkiej tyczce
wyniósł, oraz nóż długi, wiszący na smyczce.
Bardzo się te parobkom spodobały bronie.
Więc czemprędzej kowala, choć właśnie kuł konie
oderwali, od pilnej zapewne roboty
i kosy mu kazali kuć i robić groty.

Polskiemu chłopu miła, a prastara broni!
Jakże dźwięczne twe ostrze, gdy na łące dzwoni!
Jak w zwierciedle się promień przegląda w niem
słonka,
jego brzęk, wtór najlepszy do śpiewu skowronka.
Szlachcie szabla, a chłopu broń najmilsza: kosa.
Kiedy się ją wyklepie, wyostrzy, to włosa
jako brzytew, swobodnie wiszącego przetnie.
Towarzyszka to wierna, przez całe dnie letnie
kosiarzowi, gdy ostrze jej krzywe, dzwoniące,
z chrzęstem, wysokie trawy pokłada na łące,
pisząc równe, jak cyrklem kreślone pokosy.
Moskal, z broni, najbardziej obawia się kosy.

Przez cały dzień, przy kuźni, wielka chłopów
ciżba.
Kowal, widząc że jedna ich nie mieści izba,
pod dach kuźni, podparty, jak świątyńki greckiej
dwoma słupami, wyniósł kowadło i niecki
ze żelaziwem, z młotem wyszli pomocnicy,

i huk młotów dzień cały grzmi w wiejskiej ulicy.
Cienko dzwoni żelazo, iskry rozpalone
odskakują, jak muchy ogromne, czerwone,
albo, jak krople wody kijem uderzonej.

Pan Ślaski, wraz z Bartosem, w kuźni odymionej,
mierzą kosy do drzewcy, brakują co gorsze,
sprzeczają się, czy kosy są od szabel sporsze,
to jest: szablą, czy kosą więcej głów naskłada?
I cały dzień, w robocie gorącej gromada.
Zjechało się też kilku Ślaskiego sąsiadów,
młodzieży z okolicy, zasiągnąć wywiadów
i języka, zapytać, czy będzie powstanie?
Pytaniami sypali; odpowiadał na nie
Pan Ślaski, Bartos, chłopi. Młodzieńcy słuchali
a w miarę opowieści, w oczach się im pali
żądza boju, a w sercach nadzieja im rośnie!
Jedni się do kos kucia zabrali radośnie,
inni, koni dosiadłszy, do domów się spieszą,
poruszyć swoje wioski, aby wielką rzeszą
zbrojno się zameldować, u Pana Kościuszki.
Ale, już nad wieczorem, przed kuźnią, z bryczuszki,
co tercząc nadjechała drogą od Krakowa,
wysiadał żydek, pachciarz ze wsi Bosutowa.
W beneficyach, u księdza był on Kołłątaja,
pachciarzem zaufanym. Woził masło, jaja

do Krakowa. W powiecie wszystkim dobrze
znany.
Dziś przyjechał wylękły, a konik zdyszany
pokazywał, że żydek pędził co wyskoczy.
Zdala już batem kiwał i wszystkie się oczy
zwróciły z zapytaniem na niego ciekawie.
„Abramku!“ — wołał Śląski — „w jakiej że ty
sprawie
„byłeś? Taki zdyszany?... co się stało! Pedaj!“
„Panie!“ — mówił Abramko — „woziłem na
przedaj
„mleko, jak zwykle,... kiedy, koło Bosutowa
„widzę, jak pełno wojska wali od Krakowa.
„Zboczyłem ja do karczmy, gdzie mam swego
brata
„pachciarzem... aż tu włazi bestya brodata
„Kozak... co było strachu!... Nu, to on powiada,
„co z Krakowa uciekła moskiewska brygada
„bo Pan Kościuszko w mieście już robi po-
wstanie!
„lecę ostrzedz! coprędzej! Aj!... Wielmożny Panie!
„gnam na złamanie karku, nie hamuję wcale!
„bo lada chwila będą już tutaj moskale!...“

Jak kiedy jastrząb wleci między stado ptaków,
tak żyd wpadł między chłopów. I zaraz chło-
paków
i dzieci się rozbiega po domach gromada
i o niebezpieczeństwie babom opowiada.

Co się dziać wówczas jęło! Mowa nie wypowie!
Matki z dziećmi, z dobytkiem uchodzą ojcowie,
wstyd i panieństwo chroniąc, uciekają dziewki,
wszyscy wiedzą: z kozactwem przecie nie prze-
lewki.
We wsi lament, płacz dzieci, popłoch, bieganina,
jakby sądu ostatnia wybiła godzina!

I rzecz dziwna. Polacy, naród tak niezgodny,
że brat się wyprze brata, dzieci matki rodnej,
gdy się zwadzą, że między wsią i wiejskim dwo-
rem
tak często staje Zwada, z upornym Rankorem,
takie groźne, wzajemne na się narzekania,
tyle przeciwieństw w Polsce zawsze się wyłania
pomiędzy stronnictwami, tyle osobistych
zawiści i niechęci z pobudek nieczystych
dzieli ludzi, urazy budząc w nich najkrwawsze,
że zda się, iż wrogami zostaną na zawsze.
Gdy jednak, niebezpieczeństw przyjdzie chwila
wspólnych
i Ojczyźnie coś grozi, Polacy mozolnych
zapominają waśni, zawiści, niechęci,
biegną wszyscy, jak jedną namiętnością zdjęci,
razem, ideą wielką, świętą zapaleni,
i w imię Polski zrzeszeni, w Jej imię zgodzeni.

Lecz Pan Ślaski był ze wsią, jak jedna rodzina.
Ileż razy sąsiadom do chrztu trzymał syna!

Ilu doń szło ze żalem, nieszczęściem i bólem,
Ile sług starych córek, wyposażył polem,
i tradycyą już było dawną w Gierałtowie,
że się ze wsią kochali ojce i synowie.
Teraz więc, gdy do wioski wszedł Niepokój blady,
przyszli do Pana Jana, najstarsi z gromady.
Na czele, chociaż młody, szedł z Janem Świstackim
Wojciech Bartos, powszechnie nazwany Głowackim.
„Dziedzicu! żyd przyjechał do wsi przestraszony,
„bo Moskale tu idą! Ratuj nasze żony,
„nasze dzieci, dobytek!...“ Pan Śląski się zrywa,
karbowego, woźniców do siebie przyzywa,
broń rozdaje, parobków uzbrojonych w kosy
świeżo kute, ustawia, kiedy... w niebogłosy
drą się dziewki folwarczne!... Przed stajnią, w podwórzu
istny kłębek się ludzki, tarza w chmurach kurzu!
Kiecki kobiet! mundury moskiewskie zielone!
Szamocą się z kozactwem dziewczęta gwałcone!
Pan do szabli, z kosami lecą chłopy zuchy:
„Kozaki nam tu będą napadać dziewuchy!!?...“
„Ha! wy zbóje!!...“ i szlachta wraz z chłopami wali.
Aż naraz błyśnie łuna!... „Stodoła się pali!!...“
„Pożar!! Wody!! O Jezu!!!...“ rozległy się wrzaski,

Zamięszanie, szum, popłoch, ścian walonych trzaski,

Chłopi, niepomni strachu, że we wsi Moskale,
na ratunek się w ogień rzucają zuchwale,
i już ich widno wszędzie, w jasnej ognia łunie
na dachach... Naraz, z trzaskiem, zrąb stodoły runie;
Ale Pan Jan, stodoły, płomieniom w ofierze
pozostawia, i z trudem oddział chłopów zbierze.
Zbrojnych prowadzi na wieś, skrytych po za płoty.
Dobrze zrobił. Bo w łunie, moskiewskiej piechoty
widać szereg, bagnety, karabinów rury.
Wiatr, perzyny i dymu gryzącego chmury
gnał na wioskę, w kościele dzwoniono na trwogę.
Pan Jan wiódł zbrojnych chłopów w ciemności na drogę,
i zręcznie ich, na drogi wywiódłszy przykopy
krzyknął szabli dobywszy: „Teraz za mną chłopy!“
I pochyliwszy kosy, poszli na Moskali.
Bartos, widząc że wioska już się nie zapali
bo zrąb upadł, i chłopi donosili wodę,
zobaczywszy Moskali, kazał na nich trzodę
i bydło pędzić, z obór, w ogniu wypuszczone.
W szeregi wpadły krowy, byki rozjuszone
i złamały je. Kosa po bagnetach brzęczy,
w łunie ognia wre bitwa, huk strzałów, dzwon jęczy,
krzyk rozpaczy się z dymu pomięszał kurzawą!...

Tak Łykoszyn w krakowskiem, drogą chodził
krwawą.
Ale, nie wytrzymała by wioska napadu,
bo wojska co raz więcej ciśnie się do sadu
dworskiego i wieś całą otaczają wszędy.
Już do chałup wpadają!... Nie wiedzieć którędy
już uciekać, bo za wsią długie ich kolumny
widne... Lecz, czy to wicher huczy taki szumny?
Czy w przestworzach się nagła rozpętała burza?
Tentent!... Szczęki! Od lasu, z mroku się wy-
nurza
jazda w cwale! Jak iskry połyskują groty!...
Już są tu!... Już mięszają się rosyjskie roty!
„Bij, morduj!...“ słychać krzyki, trzeszczą samo-
pały...
Aż się trąby na odwrót, w szeregach ozwały!...
I po chwili, bezładną, pomięszaną zgrają,
Moskale w mroki nocy, z wyciem uciekają!...

Młody Łącki, wzniesione widzi karabiny,
jak sołdaty, pędzone, kolbami dziewczyny,
pędzą, w jasyr porwane. Więc ostrogą bodzie
konia i szablą siekąc, wstrzymał ich w pochodzie,
póki ich chłopi z boku, rozjuszeni, wściekli,
z kosami dobiegając, wszystkich nie wysiekli.
Bartos, wraz z Panem Janem powracają miedzą
by resztę ognia gasić. Dziwią się, nie wiedzą,
kto niespodzianie z taką przyszedł im pomocą?
Widzą, że kawaleryi się lance migocą,

jakieś wojsko i czapki jazdy narodowej
i kupa szlachty konnej, do boju gotowej.
Biegną i cały szwadron spotkali w dziedzińcu
dworskim. Pełno ich we wsi, pełno na gościńcu.
A skoro Pana Jana zoczyli w ciemności
przyskoczył doń Pan Łącki: „Witam Jegomości! —
wołał — „a toście piękną mieli tu zabawę!
„Żyd mi doniósł, że Moskal urządził obławę
„na was! Na szczęście słyszę, że idzie Generał
„Madaliński pod Kraków. I z gankum pozierał,
„aż tu nad Gierałtowem zaświeciła łuna!
„Chłopcy! — wołam — tam pożar widać! Do pioruna!
„Kto wie czy nie Moskale tamtędy przechodzą?
„Zbieram parobków kupę i pod moją wodzą
„prowadzę ich przez lasek Pana Sikorskiego.
„Aż, z lasu wyjechawszy, straż Madalińskiego
„widzę przednią! Za lasem łunę pokazuję
„i ze szwadronem jazdy tu do Was cwałuję!“
Pan Śląski, jął dziękować i witać wojaków,
kiedy się z po za dworskich wyłoni czworaków,
z ciemności kupa jeźdźców. W łunie błysły gwiazdy
na piersiach, szlify, szable. Wraz komendant jazdy
„formuj się!“ — krzyknął. Trąbki zagrały sygnały.
Wojska się na komendę zaraz szykowały
na drodze w hufiec karny, równy i milczący.
Przed frontem sztab przeleciał szlifami błyszczący.

Pod bramą, wódz siwego konia cuglem zdzierał.
Był to pan Madaliński, brygady generał.
Skoczył Ślaski, Wodzowi potrzymać strzemienia.
Bartos chłopów ustawia ramię do ramienia,
cała wieś koło wojska ciśnie się i tłoczy.

Generał, kiedy chłopów uzbrojonych zoczy,
dłoń zaraz do kołpaka podniósł hetmańskiego,
„Witam chłopcy! I chrztu wam winszuję pierw-
szego!“
„Dziękujemy! — odkrzykną — Mości Generale!“
Lecz Madaliński z konia nie zesiadał wcale
choć go Pan Ślaski prosił uprzejmie do dworu.
Żołnierz to był. Zdało się, że człek bez poloru.
Bo choć widział że okna domu oświetlono
i szlachtę koło ganku widział zgromadzoną,
na radosne witania i gościnne prośby
nie odpowiadał, w oku mając wyraz groźby.
Skinął. I adjutanci z rozkazami lecą.
Za chwilę, wojsko zgliszcza, co iskrami świecą
otoczyło i szpaler utworzyło długi.
Konwie lecą z rąk do rąk, na zgliszcza się strugi
wody leją, syczące wznoszą się tumany.
I prędko został pożar do szczętu zalany.

Generał z konia zesiadł. Pana Jana witał
i zaraz: „Ilu chłopów jest pod bronią?“ pytał,
ilu szlachty na koniu, i zaraz rozkaże
niech szlachta ze świtaniem w przednie idzie straże

za nią Bartos, z oddziałem chłopów kosynierów.
Pan Jan, kazał ze stajni wieść parę ogierów
i mówi: „Dobre konie Panie Generale!
„wytrwałe, a jak wicher unoszą się w cwale!
„proszę przyjąć! pod wierzchem przydadzą się
w boju.“
Madaliński dziękował i szedł do pokoju,
za nim Pan Jan i Bartos, paru gospodarzy,
i panów, co do przednich ruszać mieli straży.

Już też nie było mowy o spoczynku, spaniu.
Z narady kiedy wyszli, było po świtaniu.
A kiedy weszło słonko pogodne, wiosenne
zaświeciły się bronie jasne i promienne,
i sprawnymi hufcami jazda narodowa
rusza, przodem z kosami gwardya Bartosowa.
Ksiądz wyszedł z krzyżem żegnać wojsko pod
figurę,
podniosły się czerwone czapki chłopskie w górę.
Zanim się wieś ze zdarzeń nocy spamiętała,
w płaczu kobiet i dzieci wyszła młodzież cała,
zbrojna zapałem w sercu, a w rękach kosami.

Tak szlachta do Kościuszki szła razem z chłopami.

KSIĘGA V.

DO KOŚCIUSZKI.

W zapachu ziemi, w wiatru wiosennego tchnieniu
czuć wiosnę, co w słonecznym nadchodzi promieniu,
Czują ją serca polskie, w niejasnej nadziei
co zimę lat ostatnich skończyć ma z kolei.
Skowronek, pierwszy zwiastun słońca, ciepła, życia
wcześnie się z zimowego podnosił ukrycia,
bo wcześniej niźli zwykle, otężały role.
Lecz mimo ciepła, z pługiem nikt nie jedzie w pole,
nie dzwonią w pustych polach piosenki dziewczęce,
dzieci nie tańczą w słońcu, splecione za ręce,
jak zwykle przed chałupą. Słoneczko już grzeje,
zwykle się już w tej porze koniczynę sieje,
w zieleniące się w polach pięknie oziminy,
a nikt nie jedzie ruszać ziemi pod jarzyny.
Kowal, żadnego dotąd nie okuwał pługa.
Nie może się doczekać bydła polna struga,
w której poją swe krowy i konie pastuszki.

Chłopi się wybierają wszyscy do Kościuszki,
zaniedbując i rolę i żony i dzieci.
Posłaniec konny często do Bronowic leci,
szuka Czepca Błażeja, pyta czy jest w domu,
i z wójtem, długo radzą o czemś pokryjomu,
zamknięci siedząc w izbie. Często Maciej stary
jedzie do Czernichowa, niby na galary
ładować, a jak mówią, z kompanią bajczywą
tam radzi, osobliwie zaś z Tomaszem Grzywą.
I o wojnie się we wsi mówi co raz głośniej.
W duszy Hanki te wieści, co raz się żałośniej
odzywają, bo w łonie poczuła poczęcie,
a Stach mówi, że pójdzie do Kościuszki święcie.
W dni zaś parę, po sławnej przysiędze w Krakowie,
w całym kraju się zbrojne zbiera pogotowie,
i lada dzień czekano do wyjścia rozkazu.
Więc Hanka chodzi smutna, cicha na kształt głazu,
nieboga, choć nie mówi, choć tai się z płaczem,
jednak matce nie tajno i o co i za czem
płacze córka. Więc kiedyś, Jadwiga Jackowa,
w takie do swego chłopa odezwie się słowa:
„Ono ta niepotrzebne te wojenne strachy!
„Baba hań płace ano! Kiej se ta ciarachy
„chcą wojować, to se ta niech na wojnę idą!
„Co nam ta chłopom o to! Dość tu mamy z biedą
„utępmy!... A co bedzie, jak Moskal zabije
„Hance chłopa?... To ino kamień se na syję

„uwiesić i do wody!...“ „Cicho! baby głupie!...
— przerwie stary — „a juści! bedzie ci w chałupie
„chłop siedzioł! I Hanusie pilnował malutkiej!...
„Ej babo! długie włosy mos a rozum krótki!...
„Starsi idą, a cóz to? Cy on to nie młody?
„I on przyjdzie, i Hance tu nie będzie szkody,
„jak ino Pan Bóg zdarzy! Bo Bóg wszyćkiem włada!
„A zreśtą, wojna wojną!... Co tu jest za rada?“
Byliby się już może i do bitki wzięni!
bo Jacek trochę nagły. Ale słyszą w sieni
że wszedł Maciej! „Witajcież!...“ „Co u was nowego?“
Krzyżują się pytania wedle prastarego
zwyczaju, lecz Maciejka: „Będzie ta coś pono
„nowego, bo w Krakowie wojnę obębniono.
„A Pan Kościuszko, — na to zaś ma oczywisty
„dowód Grzywa, do chłopów porozsyłał listy.
„Właśnie po was idziemy!!... Stach, co nadszedł, mówi.
„Chodźcie kumie, — rzekł Maciej — i wy ku Błażkowi,
„Bo Grzywa przyniósł jakieś rozkazy pisane!!—
„Co gadacie?!“—rzekł Jacek i wdziewa sukmanę.
A gdy baby zaczęły krzyczeć i narzekać
wszyscy trzej na wieś raźno poczęli uciekać!
Na wsi tłumno przed karczmą. W ganku stoi Grzywa

i rękami rozkłada, mówi, głową kiwa,
aż wreszcie dosłyszeli, gdy podeszli blisko
że o wojnie coś prawił parobkom chłopisko,
i na pana, trójbarwnym opiętego pasem
wskazywał. Maciej, chłopów rozpycha tymczasem,
i cisną się na ganek. Ów pan ich tam witał,
poczem, rozwinął papier jakiś i tak czytał:
„Włościanie! Pan Kościuszko, nieograniczoną
„swoją władzą, przez naród sobie powierzoną
„niniejszem wam ogłosić wszędzie rozkazuje,
„że was w obronę kraju, pod broń powołuje!
„Że każdy, kto się w sztabie zamelduje zbrojny
„wolnym jest od pańszczyzny nieznośnej i znojnej!
„że chłop, co z bronią w ręku, a w Polski obronie
„staje i tak, jak szlachcic walczyć staje o Nię,
„tem samem szlachcicowi, jako rycerz równy
„jest wolny i swobodny! I jak ten herbowny
„jedno wraz ze wszystkimi, ma nad sobą prawo!
„Jeśli zaś który w boju okryje się sławą,
„stając walecznie, wtedy, naczelna mu władza
„nada klejnot szlachecki, i niech się rozradza
„jego plemię rycerskie! Tak czynili dawni,
„Królowie nasi, czyny wojennemi sławni,
„Tak Naczelnik, Ojczyzny obrońców, miłością
„otacza i obdarza prawem i wolnością!
„Włościanie!" — wołał dalej pan w trójbarwnej szmacie —
„Jeśli Boga i Pannę Najświętszą kochacie!

„Królowej polskiej, bronić przesławnej korony
„śpieszcie! Niech każdy przyjdzie kosą uzbrojony!“
„Niech żyje Pan Kościuszko!...“ hukną zgromadzeni.
Grzywa, kazał beczułkę wytoczyć do sieni,
„Niech żyje Pan Kościuszko! Vivat wódz kochany!“
woła, i duszkiem wypił kieliszek nalany.
Poczem zaczął od starszych, częstuje ich, trąca,
i ochota się w ludziach rozbudza gorąca
do boju! „Nie ulękną się ruskiego sztyka
nasze kosy!“ — wołają... Wtem... urżnie muzyka
jakby drużbowie przez wieś prowadzili druchnę!
Brzęczą basy, i skrzypiec śpiewanie cieniuchne,
i klarneta tryl skoczny. Mieni się na strzechach
czerwona chorągiewka, we wstąg barwnych wiechach.
Za muzyką, od Rząski, jakby processyja!...
taka moc chłopstwa! Jeden pałaszem wywija,
i jako wódz oddziału, kosynierów rotę
wiedzie w ranek różany, wiosenny, a złote
słonko się na kós ostrzu, jakby iskry świeci,
i gromadą za nimi lecą wiejskie dzieci.
W środku wsi, koło studni pod śpiczastym dachem
i z kołem, skupiły się z płaczem i ze strachem
dziewki i baby ze wsi. Żółte i czerwone
mienią się chustki, kiecki... Konwie zestawione

pod studnią, mokre, w słońcu połyskami świecą,
i coraz nowe baby, przez wieś tutaj lecą.
Wyszli i starzy ludzie, aż tu kupa nowa
wchodzi do wsi; to chłopi idą z Zabierzowa,
z Mydlnik, z dużych Bronowic, i małej Modlnicy,
idą i z Toń, Zielonek, Marszowca, Garlicy,
zda się, że z wiosny słońcem, ruszył lud krakowski,
z kosami i z chorągwią w przedzie Matki Boskiej,
w sukmanach i kożuchach, a każdy przez ramię
tobół niesie płócienny, a słońce się łamie
na kosach i na pasach z mosiężnymi wzory,
co jak pancerz pierś chronią. Za pasem topory
zatknięte, ów pistolet ma, tamten rusznicę,
coraz więcej ich wali przez wiejską ulicę!
A koło nich: u skrzeli ojca uczepiona
biegnie córeczka mała, tam synek, tu żona
w koszyku niesie skromne mężowi zapasy,
żeby miał choć na drogę, chleba i kiełbasy!
Tam kobieta rękoma objęła za szyję
chłopa i twarz ze łzami na piersi mu kryje,
inna, z jękiem splecione załamała ręce,
inna dziecko w różowej podaje sukience
ojcu całować. We wsi ruch i płacz i granie,
pisk dzieci, krzyki gęsi i psów ujadanie!
zdaje się że się ludziom zmąciły rozumy!
a przez wieś coraz nowe zbrojne idą tłumy!
Droga pełna! Nie mogą się wyminąć wozy,
ten zawadził, tamtemu koń zerwał powrozy,

inny klnie i wymyśla, bo już leży w rowie,
i tłumno od Bronowic, pod pałac w Łobzowie.
Już wchodzą na przedmieścia! Już są u bram grodu.
Tam ich inne czekają tłumy! Tłum narodu
ciekawy, chłopów łzami wita i wzruszeniem
okrzykiem, wianiem chustek, wiwatem, westchnieniem.
„Krakusy nasze idą! Nasze chłopy zuchy!!
„Czekajcie Moskaliska! Czekajcie psie juchy!!
W bramie schyli się drzewce chorągwi złocone,
i kosy się do bramy tłoczą pochylone.
Idą ciasną ulicą, miarowemi kroki,
aż się w rynek rozleją, obszerny, szeroki!
Pod ratusz, sukiennice wąską idą szyją,
aż staną szeregami pod Panną Maryją.
A prawie z wież wybiły godzinę zegary
dwunastą. Z góry hejnał odezwał się stary.
Drzewca kós o brukowe stuknęły kamienie
i głowy się odkryły. Jak na podniesienie
w kościele, taką rynek ukoił się ciszą.
I tylko się sztandary z łopotem kołyszą.
Anioł Pański lud mówi po cichu i razem,
pod lasem kós błyszczących, zjeżonych żelazem.
A z wieży na nich płyną krakowskie hejnały
co ludowi na święty bój za Polskę grały.
Po modlitwie, zaczęli rozglądać się chłopy.
Każdy ma tu znajomych, najmniej ze trzy kopy.
Więc witają się: „Ciewy! Jasiek! toś tu i ty?“

„Tyś to Wojtek?“ „He! Maciek“, „A to ci kobiety
„dały na wojnę chodzić?“ „Co by nie!“ „Hej bracie!
„i tyś tu?“ “I wy kumie?“ „Wy się to nie znacie?
Takie to między chłopstwem brzmiały rozgowory.
Bo się też ich tu zbiegło! Ostał mało który!
Serczyk z Toń i Wojdyłło z synami Modlnicki
i Ptak z Bieńczyc, z Zielonek też przyszedł Bieńczycki,
Bryła Toński, Bronowski Cepuch, Jasiek Gierat,
Krzywdziak z Wyciąż, co bardzo na Wójcika nie rad,
Kościelnicki i Czepce z Bronowic i Chmura
z Łobzowa, Zabierzowski też przyszedł Habura,
przyszli z Krzesławic, Górki, Branic, Grębałowa,
z Witkowic i z Bolenia, Ruszczy, Sulechowa
i Waligóry z Woli, Sumce z Tomaszowic
ze Zelkowa, Zielonej, Szyc i Bolechowic,
i z Karniowic i Chełmu... i siła ich siła!...
Pamięć by ich pisana już nie naliczyła!
Lecz od Siennej się orszak pokazał ulicy.
To sztab wyjechał z bramy szarej kamienicy.
Świecą się oficerów kołnierze srebrzyste,
szlify, szable, rumaki pod niemi ogniste,
tańczą, a u kołpaków białe wieją kity.
A na przedzie Kościuszko, hetman znamienity!
Naczelnik! Pomazaniec dziś narodu boży!
Przed nim się z uwielbieniem, Polska cała korzy.

Jechał przed szeregami, jasny, uśmiechnięty,
radosny! Widzi w Polsce wielki bój zaczęty!
Widzi lud, co Ojczyzny stał się dziś żołnierzem!
Lud będzie jej wybawcą! Na przyszłość puklerzem!
Serce wodza na widok kosynierów rośnie,
a chłopi Naczelnika witają radośnie!
„Niech zyje nas Nacelnik! Niech zyje! Niech zyje!
Głos ogromny na miasto aż pod niebo bije!
W górę leci nad wojskiem chłopskich czapek chmura,
i okrzyk, aż zamkowa zatrzęsła się góra!
Naczelnik wciąż do czapki ręką salutuje
„Witajcie dzieci!“ — mówi — „Polska wam dziękuje!„
I wśród chłopskich szeregów kosami świecących,
ze sztabem oficerów szlifami błyszczących,
mija Rynek i bramę do świątyni pańskiej.
Głęboko słychać okrzyk w ulicy Floryańskiej,
okrzyk, co polskie serca do głębi przenika.
Tak witali krakowscy swego Naczelnika.
Wioska tymczasem smutna została i pusta.
Ludziom się nawet słowa nie cisną na usta,
nikt się nie skarży drugim, a tylko westchnienia,
tylko łzawe, niepokój zdradzają spojrzenia.
Zostali starcy, dzieci, dziewczęta i matki.
Za cóż im gospodarstwo, gadzina, dostatki?
Kto im zorze pod zasiew wiosenny zagony?
Chłopi poszli na wojnę! Opuścili żony
opuścili sieroty i rodziców siwych.

„Kieby ich jesce użreć! a zdrowych i żywych!...“
Takie słychać westchnienia i płacz nieustanny.
Kobiety niosą na msze do Najświętszej Panny.
Proszą: Serdeczna Matko! Opiekunko ludzi!
„Niech Cię płacz sierot nędznych, do litości
wzbudzi!“
Cicho idą do domów... Wierzą pocieszone,
że Bóg słyszy ich prośby w niebo podniesione
Bóg wejrzał na płacz dzieci, na ojców siwiznę
i strzeże polskich chłopów, w boju za Ojczyznę;
Młoda Stachowa żona kamień smutku dźwiga.
Lecz ją pociesza matka, Jackowa Jadwiga:
„Dy juz nie płac! Bóg łaskaw! idź spać! Cichój
Hanka;
Lecz sama do białego spać nie może ranka,
aż ją zmorzą nareszcie smutek, łzy i troska.
We śnie widzi: nad córki łożem Matka Boska
co na ścianie w tle kwiatków, nad lampką czer-
woną
domu strzeże, podnosi rączkę poświęconą,
czarną rączkę wyciąga też i boże dziecię,
i błogosławią ludziom zbolałym na świecie.
Błogosławią żołnierzy, co poszli na wojnę,
i wdowy i sieroty, co śpią niespokojne,
błogosławią wieś całą, wszystkich we wsi
ludzi,
błogosławią każdego, kogo ból utrudzi.
Ile razy Najświętsza Panna ściągnie rączkę
tyle razy trawiącą uśmierza gorączkę,

koi płacz, koi rozpacz, pociesza żałoby
i pokój wieje w koło od świętej Osoby.
Wejrzała i na śpiącą; i zaraz do chaty
wstąpił anioł pokoju jasny i skrzydlaty
i stanął nad płaczącej niewiasty wezgłowiem.
Zaraz jej sen zaciężył na oczach ołowiem
i kobieta w noc cichą, gwiaździstą, wiosenną
usnęła pod Panienki opieką promienną.

KSIĘGA VI.

BÓJ.

Wiosenny świt rozpraszał nocnej mgły tumany.
Nad widnokręgiem palił się rąbek różany
rozsiewając na niebo światło coraz wyżej,
pędząc mrok uchodzący z ziemi, coraz niżej.
Mgła rzedła. Z niej wyłaniać się jęły ostrowy
wzgórz lesistych, dymiące mgławicą parowy,
a na niebo wybiegły chmurki mdłe, złociste,
rąbki, światłem lanego metalu ogniste.
Pola jeszcze przejrzystym dymiły oparem
różowym. Świat poranku upajał się czarem.
Mgła opada. W niej wioski, drogi majaczeją,
i role rozorane tchem wiosny wonieją.
Cisza... Pierwszy skowronek zawołał na ludzi
dzwonkiem cienkim. Do życia stwór wszelaki
budzi.
Świat śpi jeszcze. Lecz z lasu, mkną po roli
czarnej
stadkami, podskakując, wypłoszone sarny.
Pomykają zające, i w cwale szalonym
wypada jeleń. Stanął. Okiem przerażonem
wodzi w koło, i dalej pognał w leśne wzgórza.

Jastrząb się z lasa, w górę, kołując wynurza,
i nie szukając łupu, leci w dalsze strony,
a stadami się kracząc, porywają wrony.
Co tak płoszy zwierzynę, w dnia cichego świty?...
W lesie jakieś hałasy!... tupot,... jakieś zgrzyty
żelaza, tłum się jakiś tłoczy we wąwozy!
Drogami dudnią ciężkie i dzwoniące wozy.
W oparze, jakby cielsko olbrzymiego węża,
wije się masa ciemna, rozszerza się, zwęża,
nad nią jak iskry złote migocą rozsiane...
Aż rozstąpią się, ciepłem opary rozwiane:
na drodze widna wojska w pochodzie kolumna.
Tentent... Z lasu się tłuszcza wyłoniła tłumna:
Jazda!... Na lancach świecą się słonka promienie...
a pod lasem się bębnów ozwało warczenie.
Co raz więcej się wojska pojawia na drogach.
Już znać pułki po różnych, a barwnych wyłogach,
już poznać Wodzickiego pułk piechoty drugi,
z żółtemi rabatami. Przez zielone smugi
oziminy, Czapskiego pułk się załamuje,
z długiej kiszki, w czworobok kolumny formuje.
Zagrały trąbki. Wzgórza łysy stok się cały
zaroił kawaleryą. Znów dzwonią sygnały!...
Turkotem, brzękiem, hukiem, puszcza zaszumiała
w około!... Na pozycye zajeżdżały działa.
Krąg słońca już na niebie płomienił się złoty,
siejąc światło na ziemię i na wojska roty,
złocąc bronie, barwami malując sztandary.
Już się też gdzieś podziały poranne opary

i świat wesoły, krasą upojony wiosny
raduje się do słonka, spokojny, radosny,
cudny! Życia urokiem cały roześmiany!
Lecz z dala idzie upiór w krwawy płaszcz odziany!
Wkrótce pogodny spokój zakłócą armaty!
Zawrze bitwa! i śmierci wionie duch skrzydlaty!
Zmącą radość wiosenną pomocy wołania,
Klątwy, wściekłość, bestyalstwo! Męczarnie konania!

Pan Kościuszko ze sztabem przyleciał w galopie
ku Dziemierzyckim polom. Przy lasu przykopie
z gęstwiny się wynurza, niby hydry głowa
patrol kozacki. Pewnie z wojska Tormasowa,
o którym Wódz, od szpiegów wiedział i pasterzy,
że z Krakowa na północ, przeciw niemu bieży.
Słusznie na Dziemierzyce baczne zwraca oko,
bo widzi, jak pod lasem, rozstawia szeroko
wódz rosyjski baterye mosiądzem świecące.
Więc adjutantom kazał. Świecą sznury lśniące
widne z dala, rozkazy niosą w lewe skrzydło.
Wódz obóz sypać każe. Jak wielkie nosidło
na pagórku rozłożył ziemne szańce polne
niby trzon gruby. Skrzydła ruchliwe i wolne
jak do konewek sznury, porozsyłał w krzaki
pagórków. Czapki strzelców, jak białe robaki
świecą wałkami w poprzek czarnych kapeluszy.
(Wodzickich pułk używał takich pióropuszy).
Jak ramiona, ruszają się kolumny czarne.

W prawo jazda, a w szańcu armaty ciężarne
kartaczami. — Wódz szablą mignął. Zaraz ramię
lewe wojska się zwija, linię frontu łamie.
Na górze, gdzie pod lasem położysta łączka,
pułki się generała zwijają Zajączka.
Znowu szabla mignęła! — widać adjutanta
w cwale — i Madaliński wypuszcza taranta
w galop. Za nim na skrzydle, rozwija się w prawo
jazda i ochotników setka leci ławą.

Lecz oko Wodza w inną obraca się stronę!
Za wzgórze! Tam kosami kolumny zjeżone
w odwodzie stoją, w długim, równym czworoboku.
Wódz cieszy się! Na chłopów patrzy z ogniem
w oku!
Widzi: na czele, z kosą dowodzi Głowacki,
z boku Czepce i Grzywa, Pstrusie i Świstacki.
Lśnią kosy. A z postawy widny duch, ochota!
A na chorągwi świeci Matka Boska złota!
Wódz sprawił szyk. Do pochwy jasną szablę
chowa
i czeka, rychło zagrzmią działa Tormasowa.

W szeregach chłopskich spokój. Kosy postawili
w kozły. Siadają. Wódki do siebie przepili.
Gwarzą cicho, bo głośno mówić zakazano.
Bacznie śledzą Zajączka linię rozwijaną,
co ich strzeże przed ogniem wojsk Pustowałowa.
Słońce wysoko, wnet już dnia będzie połowa,

jeszcze dotąd żadnego nie słychać wystrzału!
Cicho... Wojska stanęły. Żadnego sygnału
ni rozkazu! Już chłopom czekanie się dłuży.
Zdrożeni śpią. Na wzgórze chcą wybiedz niektórzy,
ale im zabroniono opuszczać szeregu.
Szemrzą: „Co my tu cekać będziewa noclegu?“
Lecz Stacha myśl przy Hance. „Gdzie dom? Bronowice!“
„Czy też jeszcze zobaczy jasne żony lice?
„Czy też głos jej usłyszy?“ Krtań mu ściska łkanie...
w oku łza... „Bodaj dyabli wzięli to czekanie!...
„Człek się ino ozmarzy!... Bodaj już do boju!...
„Lepiej bić, niż tu siedzieć w żalu, niepokoju“.
Wszystkim przykre czekanie. Wnet będzie południe!
Pić się chce, wody niema, a daleko studnie!
Żeby już iść!... Dlaczegóż już nie zaczynają?
„Do dyabła“ — klną niektórzy...
W tem — dymy buchają
z za wzgórza! A za chwilkę... huk, jakby pod ziemią!...
Potem drugi! a potem... dział ryki oniemią
nieprzywykłych!... Szeregi przechodzi Strach blady...
Coś się w człeku buntuje... coś szepcze złe rady..,
coś rwie w tył ciało, dreszczem dygocące całe.
a działa hucznym gromem ryczą rozszalałe!

Lewe skrzydło zaczęło ogień tyralierski
jak grzechot kul sypanych. Łańcuch się żołnierski
rozbiega. Rowy, krzaki, laski i wikliny
kryją strzelców. Rzegocą ciągle karabiny.
Działa ryczą, plutonów salwa często gruchnie,
wiatr się zrywa i wonią prochu w oczy dmuchnie.
Dym prochu, wrzawa bitwy, podnieca, odurza,
co raz bliższa i bardziej rozpętana burza.
Dym coraz gęstszy, zaduch prochu coraz wionie,
upaja... tętnem biją rozpalone skronie.
Lecz strach uleciał... Stoją szeregi milczące,
dłonie ściskają kosy... wypieki gorące,
palą twarze... szeroko rozwarły się oczy...

Z za wzgórza Madaliński w galopie wyskoczy!
Szabla w dłoni... koń ziemi prawie tyka brzuchem,
role dudnią tętnieniem stada koni głuchem...
jak gdyby się gradowa oberwała chmura!...
Atakują!!... Grzmi jazdy szalona wichura!...
Przelecieli!... Za roli przepadli wgłębieniem
lecz dają znać o sobie tententem, brzęczeniem
broni... Aż naraz wrzaski... jęki... strzały... wycie...
Doszli!!... Jezu!!!
Serc słychać po szeregach bicie.
Lecz strach odleciał!... Stoją szeregi milczące...
ściskają broń... wypieki na licach gorące...

Zajączek krzyczy: „Rezerwy wprzód! Do bagneta!!“

Ułany generała cwałują Mangeta...
A strzały coraz gęstsze... i straszniejsze wrzaski...
Coś warczy nad głowami... z sosny lecą trzaski...
Ten i ów schyli głowę... mimo woli gnie się...
Lecz znów gość śmiercionośny zawarczał po lesie...
Znowu chylą się głowy... znów warczenie kuli...
Serca biją — na piersiach widać po koszuli...
lecz blady strach odleciał... Chłop stoi milczący...
kosę ściska... a w oczach ma ogień goracy...
Znowu kula armatnia!... piąta i dziesiąta!...
Już nie dostoją chłopi!... Myśl im się już pląta!...
Już za długo!... „Czy wieki będziewa tu stali!!“

Patrzą: ze wzgórza ku nim sztab w galopie wali!
A na przedzie Naczelnik!... szabla-błyskawica
miga... oko otwarte... rozgorzałe lica...
Biegł cwałem. Koniem koło szerokie zatoczył...
Ziemia dudni... Naczelnik do chłopów doskoczył...
Skupi się w sobie hufiec kosami kolczaty:
A Naczelnik: „Hej chłopcy!! Bierzcie te armaty!!!“

„Jezus, Marya!!“...

Ruszyli!!... Ha!... Ruszyli pędem!...
Lecą!... Lecą!... a wrzeszczą!!... jak zdjęci obłędem!!
Straszna hurma!... A tupot!!... jakby koni stado!...
Ziemia bryzga grudkami!!... Bartos przed gromadą;

Sam Naczelnik ich wiedzie!! Sam Naczelnik z niemi!!
Dobiegają!... Już sieką kosami ostremi!!

— — — — — — — — — — —

Raz tylko mogli strzelić!!!... Bartos czapkę z głowy,
lewą ręką nakrywa nią zapał działowy...
a prawą kanoniera kosą przez łeb zdzieli...
Hej! — Już on nigdy więcej z działa nie wystrzeli...

— — — — — — — — — — —

I zaczęła się kośba!! Hej na krwawej łące!!...
koszą łby kosy chłopskie ostre i dzwoniące!
Kosi Bartos, Świstacki, Czepce wszyscy pięci!...
Ptak, Serczyk!... Boże ratuj! z takiej sianożęci!!
Kosi Cepuch z Bronowic i Wiertek i Bryła...
Ława sukman armaty, jak tuman, przykryła!...
Co raz więcej nadbiega!... Już ich cała hurma!...
Wrzask, ryk, jęki!!... i strzały!... i bojowa surma!...
Góra ciał, broni!... Łomot jak tysięcy cepów.
Tylko krew ziemią płynie z rozbitych czerepów.
Sam Naczelnik nie patrzy już, co się tam święci!...
Aż z tłumu wypadł Bartos. Czepce wszyscy pięci,
Stach Świstacki i Serczyk... Obcierają kosy...
Dyszą ciężko i rzężą chrapliwymi głosy...
bo w strasznym boju słowa im uwięzły w krtani,
krwią ociekli... zapłwani, spoceni, zziajani!...

— — — — — — — — — — —

Rzeź sprawili okrutną! Nie znali pardonu!
Jęku rannych nie słychać, lecz chrapanie skonu...
Aż ścichło! Moskal kupą ucieka bezładną!...

Lecz dwie kompanie strzelców z rezerwy dopadną
i czego nie wysiekły kosy i topory
gonią w dół bagnetami. Ale oddział spory
Rosyan, uchodząc lasem, wpadł na Denisowa
armię, co szła do boju, uderzyć gotowa.
Nie zdążyła!... Zmięszany tłum na Janowice
ucieka, rozgromiony przez kosy, kłonice...
Kolumna Denisowa się miesza, a w cwale
atakuje ją jazda i działa na wale
polskim, szlą Denisowu zabójcze kartacze.
W popłochu się cofają kolumny kozacze.

— — — — — — — — — — —

Lecz strzały coraz rzadsze. Milkną armat ryki,
cichną jęki, komendy, tentent. Cichną krzyki,
pokój wraca powoli w dolinę szeroką.
Tylko chłopi wodzowi dział dwanaście wloką.

Już też i dzień się kończy. Zapadają mroki.
Cień na pobojowisku zasiada głęboki.
W nim zapada jak w ciemne, nieprzejrzane tonie
świat i bitwa i wojska i działa i bronie.
Ale w cieniach się jeszcze roi ludzkie mrowie...
Słychać trąby. To pułki ściągają wodzowie.
Gdzieś jeszcze ogień świeci z daleka, czerwony,

ktoś jęczy, zdala krzyki, koń stęknie zraniony.
Wojska stoją. Śmierć tylko mknie cichemi loty,
jak sowa, polem bitwy. Spóźnione gdzieś roty,
ciągną i milknie wszystko.

Już krew ludziom zbrzydła.
Wódz ze sztabem cwałuje od skrzydła do skrzydła.
Aż przybiegł, gdzie gromada kosynierów stała.
Patrzy na nich z radością. Wzięte liczy działa.
Ściągnął lejce. Koń pod nim przystanął spieniony.
Wódz zdjął kołpak. I w zorzy zachodu czerwonej
białą sukmanę chłopską mając na ramionach:
wołał, czapką wiewając, stanąwszy w strzemionach:
„Wiwat Naród i Wolność! Wiwat Polska cała!“
„Żyj wodzu ukochany!“ armia mu odgrzmiała.
Zesiadł z konia. Skoczyli z koni generały.
Idzie pomiędzy chłopów, gdzie armaty stały.
„Bartos!“ — komenderuje — „wystąpić z szeregu!“
Podbiegł Bartos. Naczelnik wstrzymuje go w biegu
Idzie doń. Za nim świta wodzów wysrebrzona.
Wódz daje chłopu rękę, bierze go w ramiona,
do piersi ciśnie, długo, długo ściska...
a wodze jakoś dziwnie targają wąsiska...

Lecz Naczelnik jasnego dobywa pałasza,
uderza płazem, chłopa rycerzem ogłasza:

„Jako króle, nagradzam czyn wielki, junacki!
„Jesteś rycerz i odtąd zowiesz się Głowacki!"

— — — — — — — — — — —

Długo pobojowisko grzmiało wiwatami
Tak wojował Kościuszko pod Racławicami.

— — — — — — — — — — —

W Racławickim kościele zagrały organy,
goreją wszystkie świece, lampy i kagany.
Nie mieści ludu w sobie kościół modrzewiowy.

Wojsko z ludem psalm śpiewa, święty Dawidowy.
W kościółku klęczy wojsko z krwawemi szablami,
i chłopów ciżba klęczy z ostremi kosami.
Przed ołtarzem Naczelnik w krakowskiej suk-
manie.
Modli się; „Chwała Tobie! Chwała Tobie Panie!"

Odsłoniono już ołtarz. Świeci obraz złoty.
W sukience Matki Boskiej gwiaździste klejnoty
w świec blasku się migocą, iskrzą, ogniem jarzą,
a Matka Boska czarną w dół poglądą twarzą,
i Dzieciątko rączynę podnosi maleńką.

Siwy ksiądz od ołtarza błogosławi ręką.
Pochyliło się wojsko, pochylili Wodze,
i Naczelnik wsparł kornie czoło na podłodze.
Dziękuje Panu Bogu, dziękuje ze łzami,

że mu dał wziąć armaty chłopskiemi kosami,
że w Polsce Zmartwychwstania dał zapalić świty!
Więc podziękował Bogu hetman znamienity.

Huczy organ, hymn w niebo uderzy potężny,
rycerską pieśń zaśpiewa Bogu lud orężny,
bo zwyciężyła prawda i wolność i cnota.

Iskrzy się w świec płomieniu Matka Boska złota
śpiewa wojsko i wodze, śpiewa Wódz Naczelny:
„Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!“

KONIEC.

W Bronowicach, Maj 1911.

TREŚĆ.

Str.

KSIĘGA I. Wieś Krakowska . . 1
Pozdrowienie Ziemi. — Chłopi. — Jacek. — Goście. — Wieści. — Zrękowiny. — Zakończenie.

KSIĘGA II. Czepce 17
Z rószczką do miasta. — Kramy.— Kawiarnie. — Plac Szczepański. — Pan w trójbarwnym pasie. — Czepce.

KSIĘGA III. Przysięga 33
Podróżni w Tyńcu. — Tomasz Grzywa. — U O. O. Kapucynów.— Przysięga w rynku. — Chłopskie dukaty.

KSIĘGA IV. W starym dworze . . 49
Na dom rodzinny.—We dworze.— Kosy. — Żyd z Bosutowa. — Moskale. — Pożar. — Walka. — Madaliński

KSIĘGA V. Do Kościuszki . . . 65
Wiosna 1774. — Agitacya — Wymarsz ze wsi. — W Krakowie. — Powitanie Wodza. — Sen Jackowej.

KSIĘGA VI. Bój 79
Cichy poranek. — Wódz sprawuje szyk. — Kosyniery. — Tornasow atakuje. — Atak Madalińskiego. — Zdobycie dział. - Głowacki. — Nobilitacya. — Nieszpory w Racławicach.